Miesięcznie 95 groszy
prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok III. **Niedziela, dnia 13 października 1935 r.** Nr. 41.



Jesienne róże

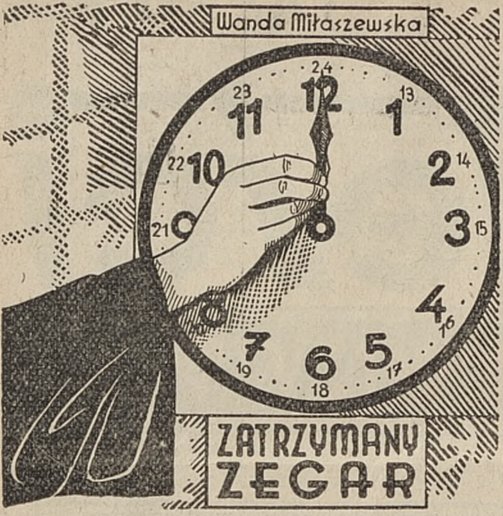
Na pożegnanie dałeś mi kwiaty,
pobladłe, jesienne róże.
— Czy nie rozwieją się twe uczucia,
Jako róż płatki w wichurze?

Czy zawsze będziesz pamiętał o mnie,
choć los cię zagna daleko?
— W małym ogródku, gdy wróci wiosna,
tam będę na ciebie czekać.

Wszystko potrafię skryć pod uśmiechem,
i żal — i smutek bezmierny,
bo wierzę mocno, że ty powrócisz
i, że zostaniesz mi wierny.

— Patrz — znikł już smutek z niebieskich cząt
i łzy cofnęły się duże,
a z koralowych ust twej dziewczyny
padł uśmiech — na jesienne róże.

Jadźka z Kujaw.



POWIEŚĆ 2)

IV.

Krótka i cicha była ta msza, którą jak zawsze zakupiłam za dusze rodziców w rocznicę ich ślubu. Odprawił ją młody wikary, ten, co zwykle obchodzi kościół z tacą w dni świąteczne. Mały chłopiec odrecytował ministranturę, bardziej, niż zwykle połykając wyrazy. Czarny ornat, dwie świece po bokach ołtarza — to wszystko. Gdzieś w głębi kościoła kilka bab starych, opatulonych w chustki, mamrotało pacierze.

Wracałam ziębnięta i smutna do domu. Przeniknął mnie do szpiku kości grobowy chłód, wiejący od kamiennych tafli posadzki.

Wracałam smutna, myśląc o tych rodzicach, których tak mało pamiętam. Nie, to nieprawda. Pamiętam ich. Pamiętam nawet ojca, choć umarł, gdy byłam jeszcze bardzo malutka. Nosił dziwną, aksamitną kurtkę w prążki (przedmiot mojego zachwytu) i umiał gwizdać prześlicznie. Kiedy o zmroku dawał się słyszeć odgłos jego kroków na schodach, mama szybko zbliżała się ku mnie, poprawiała kołnierzyk, przygładzała włoski obiema dłońmi, przestrzegając szeptem:

— Teraz Krysiunia będzie grzeczna. Tatuś wraca. Teraz Krysiunia będzie bardzo cichutko bawiła się sama, bo tatuś wraca zmęczony...

Więc byłam grzeczna. Przyczajałam się w kąciku, śledząc z pod oka, jak tatuś zdejmuje filcowy kapelusz z szerokiem rondem, jak wita mamę serdecznym pocałunkiem w czoło, jak potem siada na kanapie i ruchem znużonym zaplata ręce nad głową.

Czekałam z upragnieniem chwili, kiedy zapyta: „A gdzie Krysia“? Wówczas wysuwałam się z mojej kryjówki i biegłam pędem, jak tylko pozwalały małe nóżki, przez cały pokój. Rzecz dziwna — nigdy nie mogę przypomnieć sobie dokładnie twarzy ojca, a za to, ilekroć przymknę oczy i o nim pomyślę, widzę wyraźnie jego postać, te szczupłe, długie ramiona, w które wpadałam radośnie i które umiały, jak żadne inne, unieść mię wysoko w powietrze, prawie pod sam sufit. Potem siedziałam na kolanach ojcowskich, a dobry, żartobliwy głos nucił za mojemi plecami:

Jedzie, jedzie pan, pan,
Na koniku sam, sam!
Sługa za nim
Ze śniadaniem,
A za sługą żyd, żyd!...

Zanosiłam się poprostu od śmiechu, gdy przychodziło do ostatnich słów i gdy finał tej jazdy bajecznej przemieniał się w istną galopadę:

A za żydem żydóweczki,
Pogubiły patyneczki,
Patataj! Patataj!
Patataj!

Wtórowałam radośnie, aż do utraty oddechu:

— Pat... tataj! Pat... tataj!

— Dajże pokój, Tolku, daj pokój! Roztrzęsiesz dziecko i sam się zmęczysz, zobaczysz!

— Co mówisz, droga? Zmęczę się? Zobaczymy! — i ojciec poczynał się śmiać tak serdecznie, że aż dostawał napadu kaszlu. Zsadzał mię z kolan i ciągle powtarzał nawpół ze śmiechem, kaszląc i zakrywając usta ręką:

— Zobaczymy! Zobaczymy...

Co wieczór, kończąc herbatę, ojciec zapytywał niezmiennie: (To już należało do programu).

— A teraz pewno zagwizdać? Co królewna rozkaże?

Wiedziałam, że królewna, to ja i odpowiadałam pośpiesznie:

— Pośla Filiś...

I ojciec gwizdał, a mama nuciła półgłosem: „Poszła Filiś do ogrodu“.

— A telas o gwiazdećko!

Znowu dźwięczała piosenka, wibrujące srebrzyście gwizdanie ojca i pełen słodyczy głos matki.

...Czemu, czemu, gwiazdko mała,
Twój promyczek zbladł?...

— A telas „Siumiście“ (Szumi liście z drzewa)... A telas Kalcmalecko Safalecko! — dopominałam się coraz gwałtowniej, zaledwie przebrzmiały ostatnie tony.

— A teraz, moja panno, spać! — mówił ojciec. Brał mię znienacka w ramiona i niósł do sypialni, gdzie stały rzędem trzy łóżka: tatusia, mamy, a zaraz obok moje maleńkie, z niebieską siatką.

— Kalcmalecko! Kalcmalecko! — protestowałam prawie z płaczem.

Ojciec spoglądał na matkę, naradzali się wzrokiem: a możeby Karczmareczkę? Tylko tę jedną jeszcze? Zwykle kończyło się na tej naradzie i ojciec oznajmiał poważnym tonem:

— Karczmareczka jutro. Karczmareczka dzisiaj zmęczona i poszła spać, tak, jak Krysia. Bo przecież Krysia nie chce martwić mamusi?

I to już prawie wszystko, co pozostało w mych wspomnieniach po ojcu. Zato pamiętam bardzo dobrze starą sąsiadkę, tę, która przychodziła codziennie i zabierała mię z mieszkania rodziców. Miała bardzo wyraźne wąsiki pod nosem i głos niemiły. Bałam się jej z początku, chociaż musiała to być niezła kobiecina. Gdy po raz pierwszy zabrała mię ze sobą, zanosiłam się od płaczu.

— Chcie do mamy! Chcie do mamy! — wołałam bezustanku.

Wzięła mię na ręce, zaniosła do swego mieszkanka na niższem piętrze i podchodząc ku ścianie, pokazała coś palcem:

— Popatrz. Ładne?

Były to trzy talerze gliniane z nędzną płaskorzeźbą, pomalowaną jaskrawo. Na jednym widniał młyn z czerwonym dachem, drugi przedstawiał pejsaż zimowy, drzewa o nagich konarach i kościółek z dzwonnicą, pokrytą śniegiem. Już nie pamiętam, co wyobrażał trzeci, wiem tylko, że utrzymany był w tonach zielono-żółtych, przypominających jajecznicę ze szczypiorkiem.

Szczególnym jednak zachwytem przejmował mię ów talerz z młynem. Wprawdzie, gdy otrzymałam go w podarunku od zacnej sąsiadki i przyniosłam z triumfem do domu, mama krzyknęła: „Fe! Cóż za szkaradzieństwo!“ — tem niemniej dla mnie było to arcydzieło sztuki. Nie rozstawałam się z tym skarbem przez długie tygodnie i mogłam całemi godzinami przypatrywać się błękitnym skrętom rzeczki, albo wodziłam palcem po szklistej płaszczyźnie czerwonego dachu, albo też snułam nieskończone historje o człowieku w zielonej kurtce, który stał we drzwiach młyna i trzymał obie ręce w kieszeniach.

Nie bałam się już sąsiadki, gdy przychodziła na kilka godzin zabierać mię do siebie. W domu naszym było teraz zupełnie inaczej, niż dawniej. Tatuś nie wychodził rankami na miasto, nawet nie wstawał z łóżka, a mama coraz częściej miewała zaczerwienione powieki i kazała mi bawić się cicho w kuchence.

U sąsiadki oprócz talerzy, znajdowało się mnóstwo rzeczy ciekawych, godnych uwagi. Na ścianach wisiały obrazy w malowanych na płótnie ramach. Z treścią tych malowideł o lśniącej, gładkiej powierzchni, zapoznawałam się stopniowo, w miarę płynących dni. Na etażerce między oknami stało mnóstwo przedziwnych figlików: psy, konie, ptactwo i karzełki z terrakoty, wiązanka metalowych kwiatków, wtopionych misternie w szklaną doniczkę; było tam również jajko kryształowe, mieniące się tęczowo i duża, zakurzona szkatułka z aksamitu, wyszywana paciorkami.

Wolno mi było oglądać to wszystko, a nawet dotykać ostrożnie, końcem paluszka. To też chodziłam i oglądałam, a czas uciekał niespodziewanie prędko.

U sąsiadki zawsze był ktoś na herbacie, jakaś znajoma, z którą lubiła gawędzić, siedząc na małej kanapce, krytej czerwonym pluszem. Często moja osoba była przedmiotem rozmowy.

— A, to ta malutka? — pytała znajoma naszej sąsiadki.

Przywoływano mię, przypatrywano mi się bacznie, kiwano głowami. Po takich oględzinach mogłam znowu powrócić do przerwanej zabawy, do tej wędrówki w zaczarowane kąty mieszkania, pełnego cudów. Czasem dobiegał mię strzępek rozmowy, której treść była mi obojętna:

— Jakże tam, pani kochana? Jeszcze żyje ten biedak?

— A zipie sobie potrochu. Ot, powiem pani, najbardziej mi żal kobiety. Ile ona nocy nie dośpi, a łez wyleje! I to wszystko nadaremno. Z nim już

niedługo będzie kaput, a ta się jeszcze łudzi i łudzi...

— To i lepiej dla niej! — westchnęła kumoszka.

— Lepiej, albo i nie lepiej. Niechby się przyzwyczaiła powoli, bo co ma być, to jej nie minie. Strach myśleć, ile tego nieszczęścia na świecie!

Pewnego wieczoru zatrzymała mię sąsiadka na noc u siebie. Posłała mi na tej czerwonej kanapce, przykryła własną pierzynką, a potem schyliła się nagle nade mną i pocałowała serdecznie. Ogarnęło mię rozżalenie, poczęłam wołać, jak kiedyś: „do mamy! do mamy!"

— Jutro zobaczysz mamę, sierotko — rzekła wówczas sąsiadka, a głos jej brzmiał dziwnie miękko.

Nazajutrz deszcz padał od rana. Długie sznureczki wody spływały po szybach. W południe przyszli jacyś ludzie, bardzo głośno stukali po schodach ciężkiemi butami. Przysłuchiwałam się przez drzwi zamknięte gwarowi obcych głosów. Dopiero o zmierzchu odprowadziła mię sąsiadka na górę. Łóżko tatusia było puste, zasłane tylko kapą. Na otomanie, gdzie zwykle siadywał, leżała mama z twarzą ukrytą w poduszce.

— Tss... — rzekła nasza sąsiadka. — Cicho... Mama chora.

Ale w tej samej chwili mama poruszyła się, podniosła głowę.

— Krysiuniu! Moja Krysiuniu! — jęknęła i pochwyciła mię w ramiona. Nie płakała wcale, tylko piersią jej wstrząsało suche łkanie. Czułam wyraźnie nierówne bicie serca przez cienką warstwę starej, zniszczonej sukni. Mama nie powiedziała nic więcej. Sąsiadka wysunęła się, zamykając ostrożnie drzwi, a ja zasnęłam w objęciach matczynych i twardo spałam do świtu.

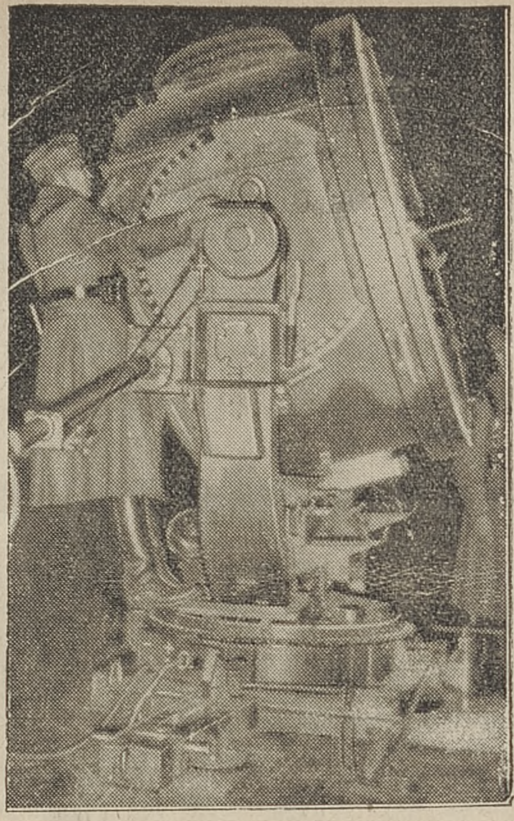
Drugiego dnia również padał deszcz. Mama trzymała mię mocno za rączkę, idąc środkiem ulicy. Prawie kurczowo wczepiła palce w mą biedną, zziębniętą piąstkę bez rękawiczki. Woda wlewała mi się za kołnierz, a pod stopami chlupotało błoto. Miałam ochotę płakać i wołać, byśmy wracały do domu, ale się bałam. Ogromny, czarny wóz z podłużnem pudłem, umocowanem na wierzchu, skrzypiał i trząsł się po bruku. Szłyśmy tuż za nim, daleko, bardzo daleko. Za nami kroczyła sąsiadka, kilka znajomych osób i kilka zupełnie obcych, nieznanych mi postaci.

Gdy się wóz wreszcie zatrzymał, nogi miałam zdrętwiałe ze zmęczenia i z zimna. Jacyś ludzie ponieśli na ramionach podłużne pudło. Ktoś długo mówił nad pustym dołem, przy którym stałyśmy, a mama trzęsła się, jak w febrze. Gdy zarzucono dół ziemią, ten sam człowiek (pamiętam, jak przez mgłę, jego nos orli i długie, wtył zaczesane włosy) podszedł do mamy i podał jej ramię.

— Pani pozwoli... — rzekł.

Mama przyjęła ramię i nie puszczając mej ręki, poszła z tym obcym panem aż ku pustej, czekającej za bramą dorożce.

To wszystko, co mogę sobie przypomnieć dziś, w rocznicę ślubu moich rodziców trzydziestą siódmą...



W czasie manewrów lotniczych pod Warnemünde był w użyciu ten gigantyczny reflektor, którym wskazywano i oświetlano samolotom miejsce, gdzie mają lądować.

V.

Przyjechała nareszcie moja „koleżanka". Jest to młoda, dwudziestoletnia dziewczyna z twarzą bardzo rumianą, przystojną, chociaż dość pospolitą. Wzrost ma raczej niski, ruchy żywe, prawie dziecinne. Oczy jasnoniebieskie, trochę za blisko osadzone, co uderzyło mię od pierwszej chwili. Włosy obcięte, ubranie dość wyszukane, buciki na wysokich obcasach. Mówi głosem donośnym, z wybitnym akcentem kresowym.

Imię ma nader romantyczne: nazywa się... E-le-o-no-ra!!! Pierwszego zaraz dnia oznajmiła mi, że lubi, gdy ją nazywają Leną, ale ja nie należę do zwolenniczek podobnych zdrobnień. Mówię jej więc „panno Leonko" co zaakceptowała, aczkolwiek z lekkim żalem w oczach.

A więc personel nauczycielski w komplecie. Najwyższy czas, bo nawet kopanie kartofli ma się ku końcowi. Zniknął ostatni motyw zaniedbywania szkoły przez dzieci.

Lubię swą pracę, poświęciłem się jej całkowicie, a jednak chwilami czuję ogromne znużenie. Szesnaście lat! Najstarsze uczenice moje zapewne powychodziły zamąż i skolei dzieci ich teraz chodzą do szkoły. Stara jestem... Ci malcy, których nie znam, to jakby moje wnuczęta...

Patrząc na pannę Leonję, widzę jakgdyby własny wizerunek z przed lat szesnastu. Rumieńców tak silnych wprawdzie nigdy nie miałam, ale zapał ten sam, bodaj, czy nie większy. No — i ta wiara, ta cudowna wiara w świat, w ludzi, w samą siebie... Wiara, której nie zdoła wydrzeć nikt i nic, z którą rok po roku przyćmiewa rosnąca bryła czasu. Jak ja kochałam życie, mając dwadzieścia lat! Jakże kochałam je później jeszcze, aż do... Eh, mniejsza z tem! Pierwsza skaza na sercu człowieczem podobna jest do plamki rdzy, która się zczasem rozszerza, wgryza w hart ducha, kruszy go. Ani spostrzeżesz, jakim sposobem i kiedy giętka stal nerwów staje się starem żelastwem, zdatnem na szmelc...

Ot, znowu nastrój minorowy. Znowu ten pół- czy ćwierć- ton melancholji, w którym rozpływa się i gubi jasny, bo prosty rysunek dnia.

Mój dzień wygląda przecież ogromnie prosto: Praca w szkole, przerwa na obiad, znów praca w szkole. Poza tem trochę czytania, trochę włóczęgi po rudych, jesiennych polach. Takie przechadzki „z własną duszą pod rękę". Czasami chwila gawędy z ludźmi, ot tak, żeby pokazać, że jednakże współżyję, współczuję z nimi, że mię obchodzą ich radości i troski. Potem znów trochę samotnej ciszy, czytania, nieco rozklekotanych myśli, czasem figlarny promyk jakiegoś wesołego wspomnienia i — noc. A nazajutrz to samo. Dzień po dniu, jak krople dżdżu jesiennego. Czas mija niewidocznie i tylko drzewa nad rzeczką stają się wiotsze, roniąc ostatnie liście w wodę i między zeschłe źdźbła trawy.

Zaraz pierwszego dnia zadała mi panna Leonka sto pytań. Jedno z ostatnich brzmiało, czy dawno tu jestem? Byłam naprawdę w kłopocie, co odpowiedzieć. Bo jakże?

— Pracuję w szkole od wakacji.

— A przedtem?

— Przedtem bywałam w różnych miastach. W Warszawie, w Łodzi...

— Nauczycielką?

— Tak. Od paru lat w szkołach powszechnych. Dawniej byłam nauczycielką prywatną...

...A dawniej? A przedtem... Ot, wędrowałam po świecie... A jeszcze dawniej byłam tu. Tak, właśnie tutaj, w tych stronach. Tu rosłam. Ale to do rzeczy nie należy. Uśmiechnęłam się smutno do własnych myśli i powiedziałam głośno:

— Jestem już stara, panno Leonko. Zdeptałam sporo świata.

Popatrzyła na mnie prawie ze zgrozą.

— To pani mieszkała w Warszawie, a teraz przybyła tu, do takiej dziury zapadłej...

Chciałam powiedzieć: Kocham tę dziurę zapadłą bardziej, niż wszystkie najpiękniejsze miasta, jakie poznałam w życiu. Spędziłam tutaj dzieciństwo. Pani nie może zrozumieć, co to znaczy: wspominać swoje dzieciństwo, bo pani sama jeszcze jest prawie dzieckiem. Chciałam to wszystko powiedzieć jednym tchem, lecz nagle dusza ukryła się zazdrośnie w swojej mocnej, nieprzeniknionej skorupce i rzekłam grzecznie:

— Ofiarowano mi tę posadę, więc ją przyjęłam. Ja zresztą wolę pracować tutaj, niż w mieście.

— A ja znów „straszecznie" lubię miasto! — przyznała się otwarcie moja Eleonora. — Tylko, że w mieście życie drogie, a nam tak podle płacą... Powiedzieć prawdę, nie ruszyłabym się z Wilna, gdyby nie to. Ale cóż — trzeba żyć! Niech pani chociaż opowie, jak tu się żyje? Ludzie choć są jacy mili?

— Ludzie? Ano, tacy, jak wszędzie. Lepsi i gorsi. Rozmaici: jest proboszcz, jest wikary, są ci dwaj nasi koledzy ze starszych oddziałów, przecież ich pani poznała. Jest burmistrz, mój gospodarz, — ogromnie zacny człowiek. Są wreszcie urzędnicy gminy, kierownik poczty. Jest pan aptekarz z żoną i felczer, żyd. To już chyba wszyscy. A pani o kogo pytała?

— Ja? — uśmiechnęła się blado zpoza naturalnych rumieńców panna Leonka. — Sąsiedztwo czy jest jakie niedaleko? Dwory?

— Dwory? Ach, naturalnie, są dwory, chociaż nieliczne. Daleko — niedaleko, ale są. Zobaczy pani w niedzielę na sumie wszystkich naszych sąsiadów. Schodzą się niektórzy u księdza na herbatkę, po mszy. Teraz tu zupełnie inaczej, niż kiedyś bywało... Ubyło wielu ludzi... Jednych zmiotła zawierucha wojenna, zagnała hen, w dalekie kraje, a drugich poprostu zabrała śmierć. Ot, jak to zawsze...

— To pani chyba te strony dobrze zna?

— Zawsze się człowiek powinien zaprzyjaźnić z kątem, w którym mu żyć wypadło. A ja te okolice pamiętam z dawniejszych czasów. Mówiłam już pani — stara jestem.

Panna Leonka potrząsnęła głową.

— Pani, to się chyba umyślnie na k o m p l i m e n t n a r a ż a... Przecież pani może mieć najwyżej... najwyżej... no... trzydzieści lat?

— Każdy człowiek ma tyle lat, ile ich czuje na barkach, panno Leoniu.

— To i prawda! — odparła rezolutnie, poprawiając filuterny kosmyk włosów, opadający na czoło. — Ale pani jest smutna. Szkoda... — szepnęła, jakby do siebie.

I patrząc w zalane deszczem szyby okienne, dodała z melancholją:

— Tutaj wogóle musi być smutno i nudno. Ludzie tacy jacyś... bo ja wiem? Ciężko się przyjdzie wypokutować przez zimę, nim człowiek tych wakacyj doczeka... Niech pani chociaż pozwoli, że ja tu czasem wpadnę, ot, pogawędzić chwilkę. Na tej plebanji trudno wytrzymać. Siostra proboszcza głucha, jak pień, nawet dogadać się z nią nie można...

VI.

Czy tu naprawdę nudno i smutno, a ludzie „tacy jacyś", jak mówi panna Leonka?

Złapałam się dziś na gorącym uczynku tak głębokiego obcowania w świecie nierealnym, że nie dziw, iż sobie niejasne, może zupełnie błędne pojęcie tworzę o życiu istotnem.

Znowu uległam pokusie, znowu zawędrowałam do Klimontowiec i wałęsałam się kilka godzin po pustym parku. Skorzystałam, że to niedziela, że lekcyj niema, że panna Leonka udała się z wizytą do aptekarzowej, że nikt nie będzie poszukiwał mojego towarzystwa, więc będę mogła przepędzić to popołudnie w cudownej ciszy, sam na sam z myślami.

I stało się. Opadły mnie wspomnienia żarłoczną zgrają, wpiły się w duszę, wessały w nią, przysłoniły mi sobą horyzont.

Zaczęło się od rzeczy napozór drobnej, lecz była ona tym startem, od którego pomknęły myśli w szalonym wyścigu aż do najdalszej mety, aż do dziecinnych lat... Oto znalazłam ścieżkę, tę krętą ścieżkę, opasującą najpierw mały stawek zielony, a potem wijącą się wśród trawników, pomiędzy kępami bzu, między klonami, dalej przez sad, dalej przez łąkę, w dół, aż ku rzeczce, skrytej wśród olch wysmukłych.

Ścieżkę tę raczej przeczułam, niż odnalazłam, tak ją zarosły napastliwe zielska. W jakiejś chwili, brnąc pośród ostów, przystanęłam, tknięta żywem przypomnieniem. To tutaj, tak, tutaj właśnie Adaś wynalazł gniazdo trzmiela. Rozdłubał patykiem niewielką kulkę splątanych pakuł, igliwia i uschłych trawek, a stamtąd z groźnem brzęczeniem wyfrunął ciężko potwór o lśniących skrzydełkach i grubym odwłoku. Jakże się bałam! Przypadłam ze strachu do ziemi i zasłaniając głowę rękami, błagałam piskliwym głosem Adasia, aby odpędził trzmiela. Śmiał się z mojego popłochu i długo, długo jeszcze przezywał Panną Tchórznicką.

Wzdłuż tej samej ścieżki Emilka zrywała pęki narcyzów, by niemi przystroić mieszkanie na ślub.... Pomagałam jej wówczas, dźwigając z wysiłkiem całe naręcza kwiatów, cudownie pachnących i białych.

— A jak wyjadę, będziesz o mnie pamiętała, Krysiu? — mówiła Emilka, śmiejące się szczęściem usta chowając w bukiet narcyzów.

— Jak Emilka wyjedzie, to będę pamiętać... — powtarzało, niby papużka, małe stworzonko w perkalowej sukience i pasiastym fartuszku.

Ślub Emilki Klimontowskiej odbył się w czerwcu, drugiego czerwca. Mniej więcej pół roku przedtem przyjechałyśmy z mamą do Klimontowiec na stałe. Była to ciężka ofiara ze strony biednej mamy. Ciotka Eufemja nie odznaczała się słodyczą, a już specjalnie nad mamą znęcała się poprostu, wyzyskując prawa najbliższej krewnej i dobrodziejki.

— Było ci wychodzić za tego twego malarza, rzeźbiarza, czy jak mu tam. Masz teraz, czegoś chciała. Jak kto sobie pościele, tak się wyśpi. Gwizdał, świstał, aż ci wyświstał piękny los! Jeszcze ci nicpoń pewnie suchoty w spadku zostawił, prócz tego fąfla, któryby koszuli na grzbiecie nie miał, gdyby nie ja!

Gruba laska z orzecha stukała o podłogę w takt oburkliwych słów. Siedząc na niskim stołeczku, zajęta rozplątywaniem nici, przenosiłam kolejno wzrok z gniewnego oblicza starej damy na białą, jak kreda, twarz matki. Biedaczka schylała głowę nisko, by ukryć łzy, ale wielkie ich krople spadały raz po raz na cienkie płótno wyprawnej bielizny, którą szyła właśnie dla Emilki.

Ciotka Eufemja nie dała się udobruchać tem pokornem milczeniem.

— O to to! Becz teraz! — ciągnęła niemiłosiernie, drepcząc tłustemi stopami w rannych pantoflach i wystukując laską jeszcze zawzięciej. — Nie w smak ci słowa prawdy! Słodsze były androny, które ci ten gagatek w uszko prawił: A moja Helciu, a moje złotko, a tiu tiu tiu, a sa tia tia... Już ja ci pewnie takich czułości mówić nie będę, ale przynajmniej chleb daję tobie i twojej małej. Byłby głodem przymarła z łaski kochanego ojczulka!

A w chwilę potem:

— I po co ty te swoje oczy wypłakujesz, chciałabym wiedzieć? Leżeć, Acan! — burknęła nagle na mopsa, który łaził za nią krok w krok, sapiąc astmatycznie. — Stało się, no, stało się, powiadam! Przeniósł się do wieczności, świeć Panie nad jego duszą... Mojem zdaniem to jedno mądrze zrobił, że uczynił to wcześnie, póki ja żyję. Ładniebyś wyglądała za jakich lat, powiedzmy, dziesięć z pięciorgiem dzieci (bo napewno mielibyście z pięcioro!) bez dachu nad głową, bez mojej opieki... Przestańże raz beczeć, nie zniosę tego! Źle ci u mnie? Żałuję ci czego? Ot, masz, twoja pociecha jak teraz wygląda! Przyjechało to blade, chude, pożal się Boże... Komu, jak komu, ale tej smarkatej służy chleb klimontowski. Hę, powiedz mała, dobry tu chlebek? Smakuje ci?

CHWILA ZASTANOWIENIA

ŁAMIGŁÓWKA DOPISYWANA

uł. De—we.

Na miejsce kropek wpisać litery tak, aby powstały słowa dwuwiersza Fr. Karpińskiego.

L... s.. ot.. c., p... a z. s... eo.. r.. n..
N.. o... a. a. n. j... o, c. d.. sz... ićm... a.

ZAGADKA

Większe, mniejsze, miljonami
Krążą codzień między nami,
Słane z miejsca w miejsce spieszą,
Tutaj zmartwią, tam pocieszą.
Często tęsknie wyglądane,
Łzą radości powitane.
Są też inne, nic nie warte,
Te bywają wnet podarte
I najczęściej cała plika
Idzie prosto do koszyka.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku 18 października br.

Rozwiązanie zadań z nr. 39 „Moich Powieści": **Arytmograf:** 1) **S.** 2) Sto. 3) Osaka. 4) Wanda. 5) Brwinów. 6) Świstak. 7) Pilka. 8) Serafin. 9) Krukowiecki. 10) Blokada. 11) Brona. 12) Komnata. 13) Karabin. 14) Toruń. 15) Kasta. 16) Ski. 17) **I.** C a ł o ś ć: **Stanisław Konarski. Łamigłówka literacka:** Marja Stuart, Wacław, Lambro, Lilla Weneda, Balladyna, Jan Bielecki, Kordjan, Mindowe. C a ł o ś ć: **Słowacki.**

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Kazimiera Wicherkiewiczowa — Lipno, Wacław Bułtrowicz — Gniezno, Dyonizy Janicki — Gniezno, Maryla Jamrożowa — Łuck, Ignacy Rojkowski — Katowice, Iza Pierzchalanka — Częstochowa, Anna Pilarczykówna — Katowice, Piotr Wolniak — Wielowieś, Jan Rawiński — Gdynia, Helena Ostrowska — Szerokie.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp. Kazimierze Wicherkiewiczowej z Lipna i Ignacemu Rojkowskiemu z Katowic.

MARJA REUTT

2)

Przeznaczenie

Kim jest ta piękna dziewczyna? — przemknęło mu się przez głowę pytanie. — Z jakiego pochodzi kraju? Kim byli jej rodzice? Patrzył na nią w milczeniu i starał się odgadnąć jej tajemnicę. Właściwie to już dość wiedział o niej. Powinno mu to było wystarczyć. Była młoda i piękna. Pochodziła z północnych Niemiec. Ostatnio zachorowała ciężko i na polecenie lekarzy wyjechała do południowych Włoch. Wybrała Taorminę jedynie dlatego, że czytała kiedyś prześliczną bajkę o dziewczynce z Taorminy.

Podziwiał jej wytworny wdzięk, jej staranne wychowanie i wykształcenie. Mówiła płynnie po włosku, po francusku i po angielsku. Cóż jeszcze więcej chciał wiedzieć?

Czy byłoby to coś więcej, gdyby znał adres jej domu rodzinnego, imiona jej rodziców i rodzeństwa, ciotek, wujów, słowem całej jej bliższej rodziny? Wszystko to było dla niego obcem i z przyjemnością skonstatował, że te sprawy nie interesują go zupełnie. Dla niego prawdą i rzeczywistością była ona, ta prześliczna, subtelna dziewczyna.

Ona... Będzie najpiękniejszem wspomnieniem, jedynem, czystem wspomnieniem wśród bujnego jego życia. A życie to płynęło rozmaicie. Jak życie oficera gwardji.

Przesyt, nuda, wyczerpanie, niesmak, to wszystko wypędziło go ze stolicy po dniach pełnych szaleństwa w czasie letniego karnawału. Szukał tu w tej cichej nadmorskiej mieścinie włoskiej odpoczynku.

Dziwił się sobie. Gdzieś się w nim zatracił słynny uwodziciel niewiast. Dziwił się sobie. Ani razu nie przyszło mu przez myśl, że przecież ta dziewczyna... Odpędził natrętne myśli. Sama myśl była ciężkim grzechem.

— Stajesz się romantykiem, poetą, fantastą, świętoszkiem, drwił w nim hulaka, stary oficer gwardji. Bawisz się tą gęsią, wyobrażasz sobie Bóg wie co, a przecież one wszystkie...

Wzdrygnął się. Wstał z głazu i podszedł ku morzu. Zdjął kapelusz i począł ocierać pot z czoła.

— Jakżebyś mógł skrzywdzić to dziecko, które tak ufnie garnie się do ciebie — odezwał się w nim jakiś człowiek obcy, dotąd mu nieznany. Ogarnęło go jakieś uczucie tkliwości. Podszedł do niej.

Patrzył już teraz na nią spokojnie, z szacunkiem. Subtelna uroda dziewczęcia, jej pełne rezerwy zachowanie się mimo całej swobody, z jaką się do niego odnosiła, jej aż nadto mała znajomość życia i świata, jej niewinność, wszystko to budziło w jego duszy jakieś inne uczucia aniżeli te, jakie rodziły się w nim dotychczas na widok kobiet.

Coraz mocniej przypiekało słońce. Opuścili plażę. Znaleźli jakąś malutką gospodę, ukrytą wśród kwiatów i zieleni, stojącą tuż nad brzegiem morza i poczęli się chłodzić lekkiem, zamrożonem w lodzie winem.

Usługiwała im młoda córka oberżysty, ubrana w jaskrawą sukienkę i barwny gorsecik. Próbowali nawiązać z nią rozmowę, ale dziewczyna spuściła oczy wdół i wykręciwszy się na pięcie, pobiegła szybko do izby. Tam przytulona do matki, mówiła, że ten obcy signor patrzył na nią jakoś dziwnie, że ogarnęło ją zawstydzenie i nogi same poderwały się do ucieczki.

— To pan ją wypłoszył — odezwała się z uśmiechem Karina.

— A czy panią potrafiłbym spłoszyć? zapytał mrużąc oczy.

Spłonęła rumieńcem. Jej czyste, jasne oczy zmętniały, zmięszała się. Rysy twarzy nabrały innego wyrazu, uśmiech znikł z ust. Powstała.

— Chodźmy na stację. Idąc wolno zdążymy na pociąg.

Stała się wyniosłą i karcącą. Wydała mu się w tej chwili o wiele starszą. Zaskoczyła go ta zmiana, jaka w niej zaszła. Onieśmieliła go.

— Prawdziwa księżniczka krwi — pomyślał.

Zapłacił szybko rachunek. Nie odpowiedział nawet na czołobitny ukłon gospodarza i nie słyszał pozdrowień wypowiadanych przez całą rodzinę właściciela, która naraz pojawiła się w izbie gościnnej, ażeby pożegnać odchodzących.

Szedł za nią z pochyloną głową.

— Mimoza, — tak jest — mimoza, — myślał z jakiemś radosnem rozrzewnieniem.

Karina uspokoiła się po chwilowem wzburzeniu. Przystanęła, czekając na niego. Na usta jej wypłynął znowu uśmiech, a w oczach zapłonął słoneczny blask.

— Śmieszna ta mała z gospody — rozpoczęła rozmowę.

— Budzi się w niej kobieta — zauważył. Tutejsze dziewczęta dojrzewają wcześnie.

— Ma pan rację. Kiedy byłam w jej wieku... urwała nagle. Nie chciała w rozmowie z nim mówić o sobie. Chciała być dla niego tajemnicą.

— Gdy pani była w jej wieku, to z pewnością bawiła się pani lalkami, a jedynym mężczyzną, który panią interesował, był jej ojciec.

Skinęła potakująco głową i roześmiała się.

— Interesował mnie, ale nie chciałam, ażeby mnie całował, gdyż nosi brodę i wąsy.

— Jak każdy prowincjonalny Niemiec, pomyślał z ironją. Założyłbym się, że przy obiedzie zawiązuje serwetę pod brodę, sapie przy jedzeniu, je nożem i chleje piwo o każdej porze dnia i nocy. Znam takie typy.

Spojrzał zachwyconym wzrokiem na idącą obok niego dziewczynę.

— I pomyśleć, że takie bydlę może być ojcem takiego cudu.

Wracali pociągiem. W przedziale siedzieli naprzeciw siebie. Przez chwilę patrzył przez okno na wstęgę przesuwającego się krajobrazu. Milczeli. Wreszcie odwrócił nagle ku niej twarz, wziął ją za rękę i wyszeptał stłumionym głosem:

— Pani nie zdaje sobie sprawy z tego, jak jest piękną i ile posiada wdzięku i urody.

— Proszę nie mówić do mnie w ten sposób. Nie chcę... Broniła się przed jego hołdami jak dziecko przed czemś, czego nie rozumie i czego się boi. — Nie chcę, nie chcę, powtarzała z uporem, patrząc na niego pełnemi lęku oczyma.

— Przyjechaliśmy tutaj oboje dla innych wrażeń. Przyjechaliśmy poto, by odpocząć. Dlaczegoż mamy psuć sobie wrażenie niepotrzebnemi słowami. W głosie jej dźwięczał jakiś żal. Zdawało się, że lada moment wybuchnie płaczem. — Tak nam dotąd dobrze było razem...

Cofnął rękę, zagryzł usta, odwrócił twarz od niej i znowu zapatrzył się we wstęgę krajobrazu. Był zły na siebie że zmącił jej spokój, że ją spłoszył. Miała rację. Poco psuć nastrój. Ale jednocześnie czuł do niej w duszy jakąś urazę. Może obraziła jego ambicję męską.

Do Taorminy jechali w milczeniu.

Odprowadził ją do domu.

Przy furtce podała mu rękę i ścisnąwszy jego dłoń rzekła:

— Nie chcę hołdów, nie chcę komplementów. Zbyt dużo już nasłuchałam się komplementów od wielu mężczyzn. Pan jest jakiś inny, jakiś zupełnie różny. Boję się, czy ja wiem, może tego, co się nazywa miłość...

Wysunęła rękę z jego dłoni i zanim zdążył wypowiedzieć słowo zniknęła w głębi domu.

Wracał do miasteczka.

— Ma rację, pomyślał. Dla niej miłość byłaby tragedją, Ja mógłbym być tragedją dla niej.

II.

I znów jak dotychczas spotykali się na plaży wśród zielonych winnic, między czerwonemi wulkanicznemi skałami, wspinali się po stromych ścieżkach i oglądali piękną Sycylję, dającą im na każdym kroku coraz to nowe wrażenia.

Wieczorem spotykali się w cukierni. Przychodziła wtedy w towarzystwie ciotki Fanny.

I było im dobrze razem.

Budził się codziennie z radosną myślą, że to już dzień, że znowu zobaczy Karinę i że danem mu będzie spędzić z nią wiele tak miłych chwil.

— Pojedziemy do Syrakuz — zaproponował któregoś dnia.

— Jedziemy, chociażby zaraz. Cieszyła się jak dziecko na myśl o tej podróży i klaskała w dłonie.

* * *

Rozczarowali się. Owe słynne Syrakuzy, to małe miasteczko, zabudowane nowocześnie, pełne żaru i kurzu. Minęli je pospiesznie i wyszli na drogę, wiodącą w stronę teatru greckiego.

Spoceni, zmęczeni i zakurzeni, dotarli wreszcie do ruin i poczęli piąć się po stopniach, aż do najwyższych rzędów widowni. Patrzyli stamtąd na pomarańczowe gaje i winnice, poza któremi na tle ciemnego lazuru nieba, rysował się widmowo szczyt Etny.



Fotografowi amerykańskiemu udało się dokonać ciekawego zdjęcia na Florydzie, mianowicie niezwykłego okazu ryby.

Zdjął przewieszony przez ramię aparat fotograficzny i z zapałem turysty począł robić zdjęcia z tego cichego zakątka. — Sfotografował Karinę, siedzącą na głazie pod kolumną, sfotografował ją potem przy starej, poszczerbionej wielkiej bramie, fotografował ją jeszcze kilkakrotnie. Śmiała się z jego zapału, ale nie protestowała.

— Dostanę z pewnością po jednej odbitce na pamiątkę.

— Po dwie, po trzy, ile tylko pani zechce — obiecywał.

Gdy schodzili podał jej rękę. Oparła na niej swoją kształtną, małą dłoń i poczuła nagle, że ten obcy, nieznany, prawie człowiek, jest jej bliski, tak bardzo bliski i swój.

Spojrzeli sobie w oczy. Zwarli się mocno oczyma. Zajrzeli wgłąb własnych dusz. Uśmiechnęła się jakoś przyjaźnie, jakoś ciepło.

Schodzili wolno po stopniach amfiteatru. Serca biły im w piersiach nowym, innym rytmem. Mieli wrażenie, że znają się bardzo dawno. Wierzyli w tej chwili w to, że już kiedyś w życiu, że może gdzieś jeszcze w prabycie byli sobie bardzo bliscy, związani tajemnym mistycznym węzłem.

Milczeli. Zaskoczyło ich to odkrycie, Karina pobladła. Przymknęła oczy i wsparta o jego ramię schodziła po stopniach automatycznie, jak lunatyczka.

I on pobladł. Zagryzł mocno usta, oczy wbił w ziemię, podpierał jej ramię i uważał na każdy jej krok. Czynił to tak, jakgdyby celebrował jakieś nabożeństwo, zachowywał się tak, jakby niósł jakąś świętość. Bał się, ażeby nie padł jakiś wyraz, któregoby cofnąć nie było można, a który zniszczyłby bezpowrotnie urok tej chwili.

W pustym przedziale siedziała naprzeciw niego cicha i pobladła, nie patrząc w jego stronę. Źrenice skryła pod zasłoną długich rzęs. Nie chciała, by wyczytał z jej oczu prawdę.

Milczała również w czasie kolacji. Troskliwa ciotka patrzyła długo na sypialnię młodej dziewczyny, która udała się na spoczynek, nie tknąwszy przedtem prawie posiłku.

—o—

Szła stromą ścieżką, kolebiąc się w biodrach, tak charakterystycznym dla niej rytmem.

Sandro szedł przodem.

— Proszę uważać — ostrzegał ją. Te głazy są kruche i chwiejne.

Śmiała się z jego przestróg i obaw. Skoczyła śmiało na jakiś występ skalny. Trzask i łomot. Kamień runął wdół. Krzyknęła.

Był już przy niej. Chwycił ją w mocne ramiona i zniósł wdół. Zatoczyła się lekko. Zrobił ruch, jakby ją chciał podtrzymać. Usunęła się.

— To nic — już mi dobrze. Dziękuję.

Spojrzeli na siebie i poczuli znów, że są sobie bliscy, że węzeł uczucia zacieśnił się.

Objął ją wpół i delikatnie przyciągnął do siebie. Nie opierała się.

Nachylił się nad nią. Usta same zwarły się w pocałunku. Świat zawirował przed oczyma. Mężczyzna całował jej oczy, pokrył całą twarz pocałunkami.

— Moja ty jedyna i ukochana — szeptał pochylony nad nią. Krew biła mu mocnem tętnem w skroniach.

Przytuliła się mocno do jego ramienia, a serce biło w jej piersi gwałtownie, jak u spłoszonego gołębia.

Stali na skalistej drodze przytuleni do siebie, podobni do greckich posągów, które kiedyś widziało sycylijskie słońce.

Z góry po ścieżce schodził jakiś chłopak, śpiewając tęskną sycylijską piosenkę.

Rozplotły się ich ramiona. Ogarnął ich dostojny spokój i wielkie wzruszenie. Aż dziwili się temu uczuciu. Szli wolno w stronę Taorminy, nie reagując nawet na powitania przechodniów. Milczeli całą drogę.

U furtki pochylił się do jej rąk.

— Carissima, ufaj mi i kochaj — wyszeptał, całując jej ręce.

Nagłym, niespodziewanym ruchem objęła go za szyję i przylgnęła do jego ust.

— Kocham cię.

Zanim zdążył otrząsnąć się z wrażenia, wymknęła się z jego objęć i zniknęła za drzwiami domu.

Wracał odurzony wrażeniem. Miał w duszy błogość i ciszę.

Kocha ją, tę cudną zjawę, to jasne marzenie, które długo nosił w duszy, a które tu na słonecznym brzegu wzięło na siebie żywy kształt.

Zrezygnuje z karjery, ze stanowiska i ożeni się z nią. Co znaczą zaszczyty i godności wobec jedynej prawdy i jedynej treści życia — miłości.

Jutro powie jej wszystko. Nie będzie taił niczego przed nią. Poprosi, by została jego żoną. Jest bogaty i samodzielny. Może zamieszkają w jego majątku, może będą podróżować stale, a może zamieszkają w większem mieście. Najlepiej byłoby w Paryżu... Uśmiechnął się do tej myśli.

Jutro! — Jakże odległem, dalekiem, wydało mu się jutro. Dziesięć godzin. Całych długich dziesięć godzin trzeba czekać, ażeby ją ujrzeć, ażeby jej wszystko powiedzieć.

W hotelu portjer wręczył mu telegram.

Rozerwał szybko pieczęć zdziwiony i niespokojny.

— Emil umarł. Stop. Zygmunt zabity. Stop. Wracać natychmiast do stolicy. Stop. Aleksander.

Zbladł. Tragedja wiejąca z tych słów wstrząsnęła nim do głębi.

Zatrzasnęły się wrota za jego szczęściem.

— Emil umarł — powtórzył głucho.

Śmierć starszego brata, wypadek nagły i niespodziewany zamknęła mu drogę do miłości do serca tej ślicznej dziewczyny.

Tragiczny zgon Zygmunta zrobił go w jednej chwili niewolnikiem urodzenia i pochodzenia. Musiał zająć jego miejsce przy boku niedołężnego stryja.

Los, ślepe fatum nałożyło mu kajdany na ręce i nogi. Spętało go przeznaczenie i okuło na całe życie aż do śmierci.

— O której odchodzi najbliższy pociąg do Neapolu? — zapytał machinalnie portjera.

— Za piętnaście minut...

Musi jechać natychmiast. Niema minuty do stracenia.

— Rachunek i samochód! Szybko pobiegł do swego pokoju. W pięć minut później jechał szybko ku stacji. Za samochodem ciągnęła się chmura czerwonego kurzu, przysłaniając Taorminę i jej piękne ogrody.

Mijał spokojne domki, skryte w zieleni, mijał gromady rozbawionych dzieci.

Dojechali do dworca. W ostatniej chwili zdążył jeszcze wsiąść do wagonu.

Opadł dosłownie na poduszki przedziału pierwszej klasy. Przesunął ręką po czole i począł trzeć oczy. Miał wrażenie, że dusi go ciężka, tragiczna zmora senna.

Z depeszy uderzyły w niego równocześnie trzy gromy. To zawiele, jak na jednego człowieka.

Śmierć brata, tragiczny zgon kuzyna i śmierć jego miłości.

Złamało go to wszystko. W tej chwili nie mógłby powiedzieć, co go więcej dotknęło. Czy ta śmierć, która skosiła bliskich, czy utrata szczęścia.

Nie miał nawet czasu na pożegnanie się z nią.

Nie może tak się z nią rozstawać, będzie musiał powiedzieć jej prawdę, wytłumaczyć się i usprawiedliwić.

Taormina znikała z jego oczu w silnej dali, a w duszy jego zrodził się ciężki palący ból.

Czy będzie się mógł przed nią usprawiedliwić? Nie znał jej nazwiska. Nie znał nazwiska ciotki... W jaki sposób?

* * *

Wrócił za tydzień.

Czekał do południa na plaży. Nie przyszła.

Zadzwonił do furtki willi raz, drugi, trzeci, dzwonił niecierpliwie, natarczywie i długo. Przydreptała stara, trochę głucha Sycylijka.

— Obie panie? Ta piękna młoda signorina i ta starsza?... Ach, obie wyjechały tydzień temu. — Dokąd?... Nic nie wie, nie zna nawet ich nazwisk.

Wracał do hotelu i miał uczucie, że w piersi niesie grobowy głaz. Cóż znaczyło dla niego życie? Stracił wszystko.

Wyjechał jeszcze tego samego wieczora i wiózł z sobą tragiczny smutek, tragiczną zagadkę swej beznadziejnej miłości.

Jeszcze opuszczając hotel, już na stopniach przy bramie, zwrócił się do portjera z pytaniem, czy ktoś o niego nie dowiadywał się.

— Nie... nikt...

Jadąc rozmyślał i liczył minione dni. Gdy nie przyszedłem na plażę dzień jeden i drugi, domyśliła się, że wyjechałem. Myślała, że zrobiłem to z rozmysłem. Pewnie myśli o mnie, że jak złodziej uciekłem, ukradłszy jej serce i zmąciwszy jej spokój.

Myśl ta piekła go niczem rozpalone do białości żelazo. Dokuczała mu może więcej niż żal za utraconą miłością.

Koła ekspresu biły mocno o złączenia szyn. Pociąg pędził gdzieś poprzez Neapol, Bolonję, poprzez Alpy, ku szarej i zimnej północy.

Karina po rozstaniu się z Sandro, biegła do willi, jak na skrzydłach. Radość miała w duszy i słońce.

Ale już przy schodach wejściowych radość poczęła znikać z jej oczu, a z policzków rumieniec podniecenia. W korytarzu przystanęła. Zachwiała się i oparła o ścianę. Przycisnęła dłonią pierś, pod którą biło niespokojne serce.

Ruszyła dalej, ale szła już tak, jakgdyby miała u nóg uwiązane kule ołowiane. Sposępniała, usta nabrały bolesnego wyrazu, a czoło przecięła zmarszczka zgryzoty.

Weszła wolno do skąpo oświetlonego saloniku i pozdrowiła matowym, bezdźwięcznym głosem swą towarzyszkę, siedzącą wgłębi fotelu i robiącą robótkę. Poważna dama spojrzała na nią wielce zatroskanym wzrokiem. Karina próbowała uśmiechnąć się.

— Tak, ciociu, masz rację, pora nam już wracać do domu...

Opiekunka upuściła na kolana robótkę, ręce splotła jak do modlitwy i westchnęła z ulgą.

Długo w nocy pani Braun nie mogła zasnąć. Niemal do rana dolatywały ją z pokoju siostrzenicy łkania.

Wyjechały nazajutrz w południe.

III.

Na dworze książęcym ruch niebywały. To już jutro ma się odbyć ślub panującego księcia słowieńskiego z księżniczką Löwe-Löwenstein, jedynaczką dawnego księcia udzielnego na wielkiem księstwie Löwe-Löwenstein.

Rewolucja powojenna zniosła tytuły i przywileje książęce. Dziś prowincją Löwe-Löwenstein rządzi urzędnik, upełnomocniony komisarz rządu Rzeszy. Rezyduje skromnie w willi podmiejskiej, urzęduje w magistracie.

Księciu pozostały jedynie zamek okazały i dobra. Wszystko to jest zadłużone powyżej możliwości spłaty.

Zamek jest stary, duży, posiada obszerne tarasy i ogrody. Wzniesiono go kiedyś dawno już z ciosanego kamienia na mocnych fundamentach. Znać na nim zaniedbanie, znać upadek tych, którzy tu na nim przez wieki rezydowali. Odrapane fasady, pustka wewnątrz, zaniedbane ogrody i parki, budynki gospodarcze pawie w ruinie. Zimą panuje tu chłód niebywały, w lecie z każdego kąta czuć stęchliznę i wilgocią.

Dobra książęce zrujnowane kompletnie. Nie dają żadnego dochodu i nie mogą pokryć kosztów utrzymania zamku książęcej rodziny, złożonej ze starego księcia, księżnej matki, trzech synów lekkomyślnych młodzieńców, oraz jedynaczki córki, ślicznej, młodziutkiej Marji Franciszki.

Chyba nigdy żadne z imion niewieścich nie kłóciło się tak z postacią dziewczęcą, jak właśnie to imię Franciszka z wiotką, smukłą, żywą córką książęcą.

Mogłoby już być Regina, Zoe, Violetta, Julja, Yolanta, Teresa, nawet Elżbieta, Anna, Marjola, Ewelina, słowem każde inne imię odpowiadałoby tej postaci, tylko nie Franciszka. Franciszka karze kojarzyć zawsze coś solidnego, a to dziewczę było zupełną negacją tych wszystkich atrybutów.

Dano jej jednak imię Marji Franciszki.

Dziękowała Bogu, że nie dano jej imienia Charlotty, a mało brakowało do tego, by ją tak ochrzcono przez pamięć na jej babkę cesarzową.

Nie cierpiała tego imienia, twierdziła, iż dostaje pokrzywki, względnie gęsiej skórki na jego dźwięk. Nie pozwalała na to, by ją tem imieniem nazywano. Już w bardzo wczesnem dzieciństwie nie reagowała, gdy wołano na nią Frania lub Franciszka.

Wydają ją za bogatego księcia panującego. Nie cierpi go. Drażni ją jego niezgrabna postać, wstrętem przejmują ją jego oczy bez wyrazu, jego wieczny katar i ochrypły, nosowy głos. Ma minę z degenerowanego głupca, tłuste, grube palce, z niepomiernie długiemi, starannie wypielęgnowanemi paznokciami.

Nie cierpi go. Cała jej natura buntuje się przeciw temu małżeństwu, ale musi wyjść za niego.

Książę jest bogaty, nawet bardzo bogaty. Obiecał spłacić wszystkie długi ojca i wyznaczyć mu wysoką stałą, miesięczną pensję. Przyrzekł także zaopiekować się wydatnie rodziną.

Żądają od niej poświęceń. Musi ulec. Nie mogłaby znieść myśli, że przez nią rodzice cierpieć będą niedostatek, a bracia zmarnują się zupełnie.

Dawno minęły już czasy, kiedy ojciec miał prawo ściągania podatków i różnych opłat na rzecz swego dworu. Wtedy działo im się znakomicie. Księżniczka patrzy na świat trzeźwo. Wie, że okres możnowładztwa minął bezpowrotnie. Może żałuje tego, ale trudno, trzeba się z tem pogodzić. Miło jest czuć się pierwszą osobą w swym kraju, wiedzieć o tem, że jest się władczynią. Miło jest odbierać wszędzie hołdy niskie, pełne uszanowania ukłony, uśmiechy pobożnego zachwytu i życzliwości. Czasy te jednak minęły. Dziś każdy z dawnych poddanych mija swych władców tak, jak równych sobie ludzi. Znikła błyszcząca, świetna gwardja, znikły dawne wspaniałe powozy, niema już kapiących od złota i przybranych w drogocenne szaty, orszaków. Niema już czołobitnych ukłonów.

Dziś kłaniają się tylko ci, z którymi los zetknął książęcą rodzinę. Są jeszcze niektórzy, pamiętający dawne czasy i ci pokazują pewne względy ex władzy i członkom jego domu.

Inni kiedyś najpokorniejsi, mijają zdetronizowanego księcia i jego rodzinę obojętnie, a nawet z pewną wyższością lub z triumfująco złośliwym uśmiechem.

Komisarz nie raczy się nawet kłaniać. Kiedy rozmawia z kimś z dawnego panującego domu, przybiera pozę wielkości. Czasem zgadza się łaskawie na to lub inne żądanie, byłego wielkiego księcia. Robi to zawsze w ten sposób, ażeby upokorzyć dawnego władcę, ażeby dać mu odczuć swą władzę.

Komisarz ma dwie córki ładne i zdrowe mieszczaneczki, o jasno blond włosach i niebieskich oczach. Dziewczęta, Mina i Helga, lekceważą ją demonstracyjne. Ilekroć spotkają ją gdzieś w mieście, patrzą na nią wyzywającym i prowokującym wzrokiem. Szczęściem te spotkania zdarzają się bardzo rzadko. Działają na nią zawsze deprymująco, wywołując w duszy uczucie poniżenia.

Kiedyś w rozmowie z bliskimi, zauważyła, iż gorzej i boleśniej jest spadać z góry, aniżeli piąć się na szczyt. Idąc, mówiła — człowiek męczy się tylko, spadając zawsze się potłucze boleśnie, lub w najlepszym razie dozna nieprzyjemnego wstrząsu. Te drobne zadrażnienia ambicji, te poniżenia, wzbudziły w niej szacunek dla bogactwa. Nauczyły ją, że pieniądz to potęga dająca wolność, niezależność, szacunek i uznanie w świecie.

I teraz ta subtelna dziewczyna, dziewczyna dobra, o naprawdę anielskiej duszy, sprzedaje się prawie że dobrowolnie. Chociaż wszystko w niej się przeciw temu buntuje, chociaż brzydzi się tem wszystkiem, godzi się, musi się zgodzić na poślubienie księcia. C. d. n.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

SPÓJRZ Z ODDALI

Kiedy smutek nagle w serce zakołacze,
I oczy przysłoni mgłą bólu czy żalu —
Wyjdź hen, poza siebie i spójrz gdzieś z oddali
Na troski, co drogę twoją smutkiem znaczą.

Zmaleją strapienia, stracą na swej sile
I odzyskasz wkrótce znowu spokój ducha:
Bo gwar, co ogłusza, gdy się zbliska słucha,
Jest szmerem łagodnym — zdala (słuchaj chwilę...)

Więc — gdy smutek nagle w serce zakołacze,
Z uśmiechem pogodnym spójrz na niego z dali—
Płomień ogrzeje cię, a nie spali,
Jeżeli odległość od niego jest znaczna.

Danuta Wyrybkowska.

PROŚBĘ SPEŁNIAM BARDZO CHĘTNIE

„Wesoła Maniuta." Prośbę Pani oczywiście spełniam bardzo chętnie i zwracam się w imieniu Pani do „Ord-Oma", „Idy" i Ryśki D. aby zechcieli do Pani skreślić chociaż kilka słówek.

Na zakończenie przesyłam Pani moc serdecznych pozdrowień i przyrzekam Pani wszelką korespondencję jak najwcześniej przekazać.

CIESZĘ SIĘ!

P. Maryla W. Trudno było mi się oprzeć tej „mocnej, mocnej" prośbie Pani, więc nie namyślając się długo, przekazałam obydwa listy. (Znaczki powinna załączyć Pani).

Bardzo cieszę się na obiecane wierszyki i ślę Pani moc uścisków, oraz wyrazy szczerej sympatji.

DOTYCHCZAS NIE WYSŁAŁAM

„Fela". Życzenia Pani spełniłam w miarę możności. Listu „Baśce z Kujaw" dotychczas nie wysłałam, gdyż w redakcji nie posiadam jej adresu.

Za pozdrowienia — ślicznie dziękuję w imieniu Czytelników „Moich Powieści" i swojem.

CZY ZNAJDZIE ODDŹWIĘK?

„Dzieniuś z Torunia" — ciemny blondyn, średniego wzrostu, przebywający w Toruniu na stanowisku państwowem, apeluje do serc wszystkich Sympatyków, aby poświęcili Mu odrobinę czasu i napisali do Niego kilka słów.

Czy ten krótki apel znajdzie należyty oddźwięk w sercach Sympatyków? — Chyba tak!

INTERSUJĄCA KORESPONDENCJA

„Agentka pocztowa". Krótki liścik Pani sprawił na mnie bardzo sympatyczne wrażenie. Mam nadzieję, że nie będzie on pierwszym i ostatnim!

A propos mojego wieku: sądzę, że to jest tak mało istotne i tak mało Pani o mnie powie, że byłoby zbytecznem podawać na łamach „Krainy" liczbę moich lat. Ot, lepiej zwrócę się do „Kmicica" i „Lakoniczka" z miłą wiadomością, że chętnie nawiąże Pani z Nimi korespondencję.

„Rysopis" Pani bardzo interesujący, podaję więc go niżej dosłownie: „Jestem niebrzydką, ciemnooką i ciemnowłosą Pomorzanką. Liczę lat 21. Posiadam maturę gimnazjalną i obecnie pracuję jako agentka pocztowa i... jeżeli to komuś zaimponuje, jestem szlachcianką z 29 pałkami w herbie".

Pyta Pani jak się przekazuje za pośrednictwem „Krainy" listy. Otóż wystarczy przesłać list zaopatrzony odpowiednim pseudonimem i 25 gr. znaczkiem na moje ręce, a ja przekażę już go dalej.

ODDAJĘ DO DRUKU PO POPRAWIENIU

„Dyza." I tym razem wierszyk Pana posiadał wiele usterek. Poprawiałam go jednak i oddaję dzisiaj do druku. Proszę, niech Pan porówna swój wierszyk w pierwotnem wydaniu już z poprawionym i zobaczy ile w nim było jeszcze usterek, no i wyciągnie równocześnie konsekwencje, czy warto Panu pisać, wiersze, czy też zaprzestać!.

UŚMIECH NAJSŁONECZNIEJSZY Z SŁONECZNYCH

„Dziewczę z jasnego brzegu" przesyła uśmiech najsłoneczniejszy z słonecznych, najpromienniejszy i najserdeczniejszy jaki istnieje — smutnym Siostrzyczkom i Braciszkom z „Krainy".

Z wierszyków, ostatnio nadesłanych, daję do druku: „Pamiętasz?" Czy Pani czyta dużo poezji, ma zamiłowanie w tym kierunku i czy Pani dużo tworzy? Proszę mi w następnym liście coś o tem donieść — zgoda?

LIST WYWARŁ NA MNIE MIŁE WRAŻENIE

„Opuszczona Owieczka". Nareszcie przyszła kolej na list Pani. Na list, który wywarł na mnie niezwykle miłe wrażenie. Napisała Pani w nim to, co czuła i doświadczyła niejednokrotnie w życiu. Między innemi pisze Pani, że „nie lęka się przyszłości, choćby była pokryta cierniami"... Tak być powinno! Człowiek samodzielny zawsze powinien iść przez życie z podniesionem czołem, powinien umiec i cieszyć się i cierpieć. Tylko tchórze lękają się życia, nigdy ludzie rozsądni, zrównoważeni i silni duchowo. Ponieważ Pani należy, jak zauważyłam, do rzędu tych ostatnich, stanowi Pani wartościową jednostkę dla społeczeństwa. Oby ich było jak najwięcej!

Adres otrzymałam i wkrótce po jego odbiorze wysłałam Pani list. Za fotografję dziękuję bardzo. Niezwykle miłe, a najmilsza ta na której Pani jest taka samotna i zadumana. Łączę moc serdecznych pozdrowień.

PAMIĘTASZ?

P. A. S. z W. — poświęcam.

Pamiętasz łąki, pełne kwiatów woni,
Pamiętasz lasy tak pełne szumu drzew,
Pamiętasz fale na jeziora toni —
I blaski słońca
I ptasząt śpiew?...

Czyś już zapomniał, jak mi przysięgałeś,
Że będziesz kochał mnie zawsze z całych sił?.
Dziś może innej swe serce oddałeś —
Choć przyrzekałeś
Być wiernym mi?...

Jeśli szczęśliwie dni twoje w dal płyną,
O mnie zapomnij, niech szczęście sprzyja Ci!
I chociaż moje wspomnienia nie zginą —
Zapomnij o mnie
I szczęściem żyj!...

„Dziewczę z jasnego brzegu".

DWIE SIOSTRZYCZKI

„Złota rybka" i „Rozkoszna Renia", dwie siostrzyczki pragną należeć do „Krainy szczerości". Mało na tem, wyrażają wielką chęć nawiązania skimś korespondencji. Szczególnie „Rozkoszna Renia", jasnowłosa, szczupła o czarnych oczach panienka. Zaletą Jej to wesołość. Twierdzi, że potrawi „wszystkich i wszystko" rozweselić.

Czy to prawda, przekonają się Ci, którzy napiszą do Niej kilka słów.

HALLO „VERTE!"

„Czarny Olek". Sprawa prenumeraty „M. Powieści" została bardzo pomyślnie dla Pana załatwiona.

Słowa, dotyczące „Verte"; zamieszczam niżej: „Hallo — Verte"! Czy Pani ma już książkę pt. „Dzwonnik z Notre — Dame?" Wyżej wymienioną książkę posiadam i chętnie ją Pani prześlę. Proszę o podanie adresu".

ADRESÓW NASZYCH SYMPATYKÓW NIE ZDRADZAMY

„Ben — On". Wierszyka Pana, niestety, zamieścić nie mogę, gdyż jest bardzo nieudolnie napisany. Może Pan poda w następnym liście apel ułożony prozą, a bardzo chętnie zamieszczę go w „Krainie".

List, skierowany do osoby, której adresu nie posiadam, zgodnie z życzeniem, zwracam. Adresów jednak, wymienionych w liście Sympatyczek zdradzić Panu nie mogę, gdyż podobne adresy, są tylko wyłączną własnością redakcji.

PONURE DNI

Poświęcam — „Lence."

Ponure, smutne nadeszły dni,
Jesienne nadeszły godziny,
Całemi dniami wciąż deszczyk mży
I słonka tylko już odrobiny.

Zachodnia wichura przykro dmie,
Po niebie suną gęste chmury...
Te poszarzałe, jesienne dnie —
Nastrój budzą wśród nas ponury.

„Dyza".

ODWZAJEMNIENIE POZDROWIEŃ

„Irek" odwzajemnia się „Dusi" za Jej pozdrowienia w „Krainie".

CZY POZOSTANIE BEZ ECHA?

„Rybak z Helu". Apel Pana podaję bardzo chętnie, proszę tylko postarać wyleczyć się z „nieśmiałości" i samemu napisać do kogoś z „Krainy". Czy do tego zresztą potrzeba jakiejś specjalnej odwagi? Sądzę, że nie!

A teraz uwaga, Drodzy Sympatycy! „Rybak z Helu" pragnie bardzo poznać jakąś bratnią duszę. Jest to młody, przystojny, ciemno — blondyn zamieszkujący wioskę rybacką, położoną na wybrzeżu półwyspu Helu. Jesienią i zimą pusto tam i smutno, więc w listach z dalekiego świata „Rybak z Helu" pragnie znaleźć rozrywkę i pewną odmianę wrażeń.

Czy apel ten pozostanie bez echa? — myślę, że nie!

NAWIĄZUJCIE Z SOBĄ KORESPONDENCJĘ!

„Romantyk" jest stałym czytelnikiem „Moich Powieści". Podobają Mu się wszystkie powieści, a najwięcej „Kraina szczerości".

Mieszka w cichej wiosce i bardzo tęskni za jakąś życzliwą duszą. Czy znajdzie się więc ktoś, rozporządzający większą ilością czasu i prześle „Romantykowi" słowa pociechy? Jesienią wieczory wiejskie tak monotonne i szare — liścik z dalekiego świata potrafiłby je cudownie opromienić, nie czekajcie więc, Drodzy Sympatycy i nawiązujcie z sobą korespondencję.

CZY WYSTARCZĄ?

„Dusia". Pomimo najszczerszych chęci i tym razem nie mogę zamieścić wierszyków Pani, oprócz „Żegnajcie", który po pewnych poprawkach zamieszczę w następnym numerze.

Pozwolę sobie jednak zamieścić pełen polotu liścik Pani, który każdy sobie chętnie przeczyta: „Miła Pani Zosiu! Ranek. Dzień zapowiada się dzisiaj pogodny. Słońce na nieskalanej tafli błękitu podobne jest najzupełniej do rumianej kuli. Świat zdaje się uśmiechać do ludzi. Ku niebu lecą jakieś tęskne refreny i pełne błyskotliwych tonów kantaty. Perlista rosa opada z drzew pod pocałunkami słonka i wszystko wydaje się nużać w szczęściu i radości. Pani Zosiu! W ten to ranek siedzą przy oknie z psotliwemi promieniami na oczach i piszę. Jakiś ciężar mam w duszy. Nieuchwytna tęsknota omotała mą duszę, jak ośmiornica. Czuję, że mi czegoś brak, proszę więc Panią o odrobinę serca wyłącznie dla siebie. Życie niekiedy bywa czcze i smutne i bardzo nam trzeba pożalić się drugiemu, bliskiemu i kochanemu, aby było potem w duszy znacznie lżej. Pragnę w Pani znaleźć przyjaciółkę, bo jestem przekonana, że tylko od Pani zależy, by stać się w życiu dobrą i pogodną. Pozatem, pisząc powyższe, mam na myśli jeszcze inny cel, którego nie będę ukrywała, chodzi mi mianowicie o to, by ktoś spłynął ku mnie z nieznanej dali, ktoś również dobry i miły, z kim tak, jak z Panią mogłabym korespondować i dzielić się memi smutkami i radością. A może tym „ktoś" będzie „Pokutnik" — „Biały Djabeł" albo „Pell", którymi się bardzo zainteresowałam?"

Na zakończenie odpowiadam Pani na postawione mi w liście pytania: a więc proszę Cię, moja mała Przyjaciółeczko, abyś bez wszelkich skrupułów pisała zawsze o wszystkiem do mnie, z tem przeświadczeniem, że listy Twoje odczytam z zrozumieniem i wielką życzliwością. Czy te moje proste zapewnienia wystarczą?

ECHA ZLOTU HARCERZY W SPALE

„Bajka“, sympatyczna Przyjaciółeczka „Krainy“, była na Zlocie Harcerzy w bieżącym roku w Spale i dzisiaj dzieli się z nami wrażeniami stamtąd wywiezionemi:

„Kochana Pani Zosienko! Zlot w Spale był imprezą zakrojoną na olbrzymią skalę i przekroczył swemi rozmiarami wszystkie tego rodzaju imprezy organizowane w Polsce.

Teren przylegający do rezydencji p. Prezydenta Rzeczypospolitej w dniu otwarcia Zlotu, był wielkim dobrze zaopatrzonem miastem namiotów, zamieszkałych przez 30-tysięczną rzeszę młodzieży harcerskiej. Harcerze intensywną pracą potrafili przy pomocy najprymitywniejszych środków, najprostszych narzędzi zaopatrzyć uczestników we wszystkie niezbędne potrzeby. Miasto było skanalizowane, posiadało oświetlenie elektryczne, przewód telefoniczny, doskonałe drogi, kilkadziesiąt studzień, kilkadziesiąt pawilonów mieszczących szereg instytucji użyteczności publicznej, jak kantor wymiany walut, bank, pocztę, oddział biura podróży, przedstawicielstwa większych dzienników polskich oraz szereg magazynów materjałowych i żywnościowych. Służba bezpieczeństwa na całym terenie spoczywała również w rękach policji harcerskiej, która dzielnie utrzymywała porządek.

W wielkiej hali sportowej urządzona była wystawa harcerska, która w pomysłowo zrobionych wykresach i eksponatach ujęła całokształt dorobku pracy dokonanej w ciągu 25 lat istnienia organizacji.

Zainteresowanie Zlotem było olbrzymie. — Świadczyło o tem liczne przybycie delegacji polskich harcerek i harcerzy z różnych stron świata, nawet z za Oceanu z Ameryki Północnej, ponadto dość liczne reprezentacje skautów przybyłych z Czechosłowacji, Węgier, Łotwy, Rumunji, Włoch, Anglji, Austrji, Belgji, Francji, Norwegji, Szwajcarji i wielu innych państw.

Wspaniale wyglądała defilada tych zwartych szeregów harcerskich przy dźwiękach różnych orkiestr, którą przyjmował p. Prezydent wraz z innymi dostojnikami Rządu, przedstawicielami państw i zaproszonymi gośćmi. W pierwszych rzędach szła młodzież polska z zagranicy, z Łotwy, Litwy, Niemiec, Kanady, Ameryki Półn., Rumunji, Szwecji, Czechosłowacji i innych państw, potem harcerki Czeszki ubrane kolorowo, Norwerki granatowo, Łotewki zielono, Francuzki, Holenderki — wszystkie machały rękami dziękując ze śmiechem za serdeczne powitanie — za nimi kroczyły polskie drużyny z kraju. Słychać było okrzyki na cześć Poznania, Gniezna, Pomorza, „brawo len“ wołano harcerkom wileńskim odzianym w białe lniane płaszcze. Oklaskiwano Ślązaczki i Poleszuczki wyróżniające się pięknemi strojami miejscowemi. Cały ten różnobarwny korowód widniejący męstwem i siłą, radością i weselem toczył się parę godzin — był bardzo malowniczo — widowiskowym punktem Zlotu. Wszyscy też zebrani widzowie zamanifestowali gorąco żywione uczucia dla dzielnej młodzieży harcerskiej podczas tego olbrzymiego pochodu.

Przeszkadzała uroczystości dżdżysta pogoda, ale pomimo, iż niejedno oblicze smagał deszcz, to jednak oczy były roześmiane, pełne tryskającej radości.

Przemiłe i urocze były wieczornice. — Młodzież zebrana przy ognisku nawiązywała nici przyjaźni między obcymi skautami, zapoznawano się z pracą w rozmaitych gałęziach sportu, prowadzonych we wszystkich gniazdach Polski — rozbrzmiewał i śpiew harcerski, który fale Pilicy niosły ku Wiśle i Morzu, by słyszano go wszędzie, a bór otaczający Spałę odpowiadał echem „Czuwaj“...

Jubileuszowy Zlot Harcerstwa był znakomitym sprawdzianem tężyzny i powagi organizacji, która wychowuje dzielnych obywateli odrodzonej Polski, a ci dzielni pełnią swe posłannictwo dla dobra Ojczyzny, Jej potęgi i Jej chwały.

P. S. Łączę pozdrowienia „Miłej Zapaleczce“ i zapytuję czy zadowolona z przesłanych Jej worków?“

OBAWY BYŁY ZBYTECZNE

„Mira z Pomorza“. Zbyteczne były obawy Pani i wszelkie skrupuły, gdyż nietylko, że przyjmuję Panią jak najchętniej do naszego grona, ale oprócz tego podaję krótki wyjątek z listu Pani do druku:

„Jestem szczupłą blondynką, poważną, o usposobieniu melancholijnem i bardzo nieszczęśliwą. Mieszkam na Pomorzu. Może ktoś z Czytelników „Moich Powieści“ napisze do mnie? Ogromnie się ucieszę. Zosyłam serdeczne pozdrowienia: „Białej Dajali“ — „Idealiście z nad Bałtyku“ — „Fakirowi“ i „Wilkowi z Polesia“.

BRATNIĄ DUSZĘ ZNALEŹĆ TRUDNO

„Serce Stepów“. List Pana bardzo mnie zainteresował. W odpowiedzi na pierwszą jego część, zapewniam Pana, że poznać osobę o walorach wewnętrznych takich, aby odpowiadały najzupełniej drugiej osobie jest znaleźć bardzo trudno. Aby znaleźć bratnią duszę, trzeba wytrwałości i cierpliwości. Myślę jednak, że Pan ją znajdzie prędzej czy później, ale nie wśród jednostek, lecz w tłumie. Chyba Pan rozumie, co mam na myśli? Z apelem do Sympatyków „Krainy“ zwracam się bardzo chętnie: a więc kto chciałby nawiązać z „Sercem Stepów“ korespondencję na tematy mistyczne, poruszające zagadnienia sugestji?

A propos wierszy o Ukrainie! Jeżeli Pan będzie miał chwilę czasu, proszę, niech mi Pan coś napisze o Ukrainie. Dlaczego? — dowie się Pan w przyszłości. Za słowa uznania — bardzo dziękuję!

Na zakończenie pozdrawiam w imieniu Pana „Księżniczkę Dari“ i sądzę, że zrobi Pan jak najlepiej, gdy postara się nawiązać z Nią korespondencję. Dla zachęty zdradzę, że „Księżniczka Dari“ tak samo kocha Ukrainę, jak Pan.

„Tamarze“ dziękuję z całego serca za pamięć i ślę Jej moc szczerych i serdecznych pozdrowień.

Sympatyczka, o którą Pan pyta w liście, „M. Powieści“ nie abonowała. Sprawę prenumeraty, zgodnie z życzeniem Pana, załatwiła administracja.

CHCIAŁABYM...

„Mała Konwalijka“. Moja Słodka Dziewczynko! Liścik Twój, jak zwykle odczytałam z rozrzewnieniem. Jesteś taką szczerą i tak bardzo kochaną! Chciałabym, żebyś do mnie pisywała jak najczęściej. Fotografją sprawisz mi wielką radość. Już tyle posiadam ślicznych fotografji, tylko jeszcze brak mi bardzo jednej... od „Małej Konwalijki“. Myślę jednak, że teraz już długo nie będę potrzebowała czekać na zdjęcie?

Kończąc, przesyłam Ci, Kochana Dziewczynko, serdeczne pozdrowienia i życzenia, aby Ci życie w białym dworku, płynęło jak najpogodniej, a wszystkie wysnute marzenia przybrały kiedyś realne kształty.

„MOJA PRZYJACIÓŁKA“ PREZENTEM IMIENINOWYM

„Kameleon“. „Moja Przyjaciółka“ będzie bardzo miłym i cennym podarkiem imieninowym dla Pani Kuzynki. Przy wpłacie abonamentu, proszę, niech Pani poda dokładny adres Kuzynki, aby bezpośrednio przekazywać mogła Jej administracja numery.

List wysłałam. Sama jestem ciekawa rezultatu. Załączone pozdrowienia dla: „Wiernej Czytelniczki“ — „Stelisa“ — „Rotmistrza“ i całej „Rodzinki“ — przekazuję.

Kiedy znowu Pani do mnie napisze?

MAM NADZIEJĘ!

„Smutna Oleńka“. Droga Pani! Milczenie moje może być zawsze uzasadnione tem, że wielki nawał korespondencyj uniemożliwia mi danie szybkiej i obszernej odpowiedzi w „Krainie“ na list Pani Nie zdarza mi się jednak nigdy, bym kiedykolwiek zostawiała jakiś list bez odpowiedzi — prędzej czy później, ale daję ją zawsze. Mam nadzieję, że powyższe słowa usprawiedliwią mnie teraz zawsze w oczach Pani, ile razy nie odpowiem zaraz na liścik.

Dziękuję Pani również jak najserdeczniej za zwrócenie mi uwagi na wierszyk, zamieszczony swego czasu w „Krainie“, który okazał się naśladownictwem. Po przeczytaniu listu Pani odrazu zwróciłam się listownie do autorki, która tak „umiejętnie“ potrafi pisywać poezje.

Na zakończenie zwracam się w imieniu Pani do „Elżuni z Torunia“, by zechciała przesłać z Torunia — miasto dobrze Pani znanego — parę słów.

W CICHYM DWORKU NA POMORZU...

„Halinka“. Bardzo ucieszył mnie obszerny liścik Pani. Byłabym bardzo zadowoloną, gdybym częściej odebrała od Pani podobne listy. A teraz oddaję do przedruku kilka zdań z listu Pani:

„Droga Pani Zofjo! Już bardzo dawno, bo 6 miesięcy temu, jak przyjętą zostałam do miłego grona, którego punktem kulminacyjnym jest Pani.

Mimo najszczerszych chęci, okoliczności nie pozwoliły mi na utrzymywanie tak miłej dla mnie korespondencji z Sympatykami „Krainy“. Pragnąc więc nanowo nawiązać kontakt z Rodzinką, proszę uprzejmie Drogą Panią, ażeby przypomniała o mnie w tym kąciku towarzyskim, że w cichym dworku na Pomorzu czekam na liścik od „kogoś“, dalekiego, nieznanego, z którym możnaby prowadzić dyskusję na różne tematy. Czy znajdzie się ktoś? Przypuszczam, że tak!“

POZDROWIENIA I PROŚBA

„Samotny Rom“. Załączony do listu wierszyk posiada bardzo szlachetne myśli, jednakże ze względu na brak rytmu, nie mogę go zamieścić.

Chociaż Pan tak długo milczał i nie dawał o sobie znaku życia, to jednak ostatnim, długim i serdecznym listem sprawił mi dużo radości. Za opisanie miejscowości, w której Pan zamieszkuje, dziękuję Panu specjalnie, gdyż S. znam bardzo dobrze. Miło mi więc było odczytać tych kilka słów, dotyczących stron znajomych, a nawet mi drogich.

Pozdrowienia, załączone dla: „Kaliny“ — „Jadzki z Kujaw, p. M. Wawrzyńczakówny, „Maleńkiej Dzidzi“, — „Złotego Promyka“ i „Stelli Maris“ przekazuję, wraz z prośbą, aby powyżej wymienione Sympatyczki skreśliły do Pana liściki.

Teczka Wujka Janusza

BRAK RYTMU

„Zbłąkana Gwiazda“. Takie listy, jak Pani, odczytuję zawsze z wielką satysfakcją, znajduję bowiem w nich odrobinę jaśniejszych promyków i świat przedstawiony w pięknych kolorach. Chciałbym podobne słowa otrzymywać częściej.

W wierszach Pani przebija uczucie, jedynie brak w nich zupełnie rytmu. Jeżeli jednak uzupełni Pani braki pewne, wszystko będzie dobrze, gdyż poszczególne myśli w utworach Pani są bardzo piękne. Czekam więc na rezultat mych słów i żegnam Panią serdecznym uściskiem dłoni.

ODESŁAŁEM DO KOSZA

„Sarkastyk“. Wiersz naszpikowany zbyt wielką ilością przesadnych metafor — odesłałem do kosza. Może Pan spróbuje napisać coś prościej?

ZA DUŻO EROTYZMU

„Blondynek w mundurze“. Hallo! „Lenko“, „Anno May Wong“ i „Mała Księżniczko“! — „Blondynek w mundurze“ przesyła Wam bardzo serdeczne pozdrowienia!

Po załatwieniu życzenia Pana, przystępuję do oceny wierszyka: „Tęsknota“ Pana posiada za wiele erotyzmu i to erotyzmu bardzo pospolitego. Niech Pan postara się napisać coś oryginalnego i mniej banalnego, a wierszyk zamieszczę z ochotą.

Z nadzieją, że przyjmie Pan przychylnie tych kilka słów krytyki, ślę Panu jak najserdeczniejsze pozdrowienia.

ODŁOŻYŁEM DO TECZKI

„Willy“. Wiersz Pana jest bardzo piękny, uderza wielką harmonją myśli i mistrzowską kompozycją. Odłożyłem go do teczki, aby w odpowiedniej chwili z niego skorzystać.

Pisze Pan, że nie zdarzyło mu się, aby jego utwory kiedykolwiek zwracano. Naturalnie! Jeżeli wierszyki Pana podobne są do „Snów“ (wiersza nadesłanego do mojej Teczki), jest to niemożliwe. Dobre utwory są rzadkie, to też każdy krytyk jest niezwykle zadowolony, gdy wśród plycizny i balastu natrafi na „perłę“. Życzę Panu jak największego powodzenia na polu literackiem, a kiedyś w przyszłości zdobycia nagrody za pracę.

Raj kobiet

Zimowe płaszczyki dla dzieci



KK 47330 MK 47276 MK 47243

Największą obecnie troską dla wszystkich matek, to troska o zaopatrzenie swych pociech w ciepłą garderobę, a przedewszystkiem płaszczyki. Październik — a więc już czas najwyższy, aby dać przerobić zeszłoroczny płaszczyk, względnie uszyć nowy. W tym celu wybieramy się do magazynu i kupujemy solidny, wełniany materjał, podszewkę, watelinę i nie zapominamy o kupnie w składzie futer, chociażby małej skórki. Futrzany kołnierzyk jest zawsze cieplejszy, no i podnosi bardzo korzystnie wygląd całego płaszczyka. Zkolei wybieramy jeden z powyżej podanych fasoników i udajemy się do krawcowej.

Objaśnienie modeli:

KK 47 330 Praktyczny płaszczyk dla chłopca z wełny w ciemne punkty o sportowym kroju z raglanowemi rękawami — ozdobiony stebnowaniem.

MK 47 276 Sportowy płaszczyk dla dziewczynki z ciemnego flauszu, stebnowany po brzegach. Kołnierzyk i mankiety z nutrji.

MK 47 243 Płaszczyk dla 3-letniej dziewczynki z jasnej miękkiej wełny, z okrągłym karczkiem i małym futrzanym kołnierzykiem.

Kroje powyższe (Beyera) nabyć można w naszej administracji za poprzedniem nadesłaniem 1,40 zł za kroje: MK 47 276 i MK 47 243 i 1.90 za KK 47 330 przez PKO. nr. 207.398.

„Korespondencja miłosna za połowę ceny".

We Włoszech istnieją specjalne „biura pisania listów miłosnych", prowadzone przeważnie przez kobiety. Jedno z takich „biur" wywiesza tablice na froncie domu przedmieścia Rzymu z napisem: „Tu się pisze w sprawach prywatnych i publicznych. Załatwia się listy we wszystkich djalektach włoskich. Oświadczenia miłosne, listy z wyrzutami do niewiernych mężów. Stała miłosna korespondencja za połowę ceny".

Okazało się, że biura takie prowadzone przez kobiety lepiej prosperują. Kobiety, więc lepiej orjentują się w sprawach miłosnych aniżeli mężczyźni.

Ze świata

Okładki z aluminjum

Pomysłowy wynalazca angielski sporządził okładki do książek z aluminjum, które odznaczają się lekkością i zarazem trwałością. Okładki te są oczywiście tańsze od okładek ze skóry lub innych materjałów. Wynalazek ten znalazł już zastosowanie w księgarstwie angielskiem, a ostatnio w czechosłowackiem. Okładki aluminjowe używane są narazie tylko do książek tańszych, a zwłaszcza do egzemplarzy przeznaczonych do bibljotek szkolnych, ludowych i publicznych.

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie od dnia 13. X. do 19. X. 1935 r.

Niedziela, dnia 13 października 1935 r.

9.00 Audycja poranna 10.50 Transmisja nabożeństwa 12.03 Przegląd teatralny 12.15 Poranek muzyczny z Wilna. W przerwie o godz. 13.00 fragm. słuchowiskowy „Gwałtu co się dzieje" 14.00 Fragment z powieści „Brama świata" 14.20 Muzyka salonowa 15.00 Godzina rolnika 16.00 Transmisja z sierocińca dla dzieci (Wilno) 16.15 Polska fanfara 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 Muzyka taneczna 17.40 Migawki regjonalne 18.00 Recital fortepianowy 18.30 Słuchowisko Ocalenie 19.25 Wiadomości sportowe 19.30 Melodje z operetki „Rose Marie" 19.45 Co czytać 20.00 Koncert z udziałem Heleny Karnickiej 20.45 Wyjątki z pism Józefa Piłsudskiego 20.50 Dziennik wieczorny 21.00 Wesoła Lwowska Fala 21.30 Na morzu Czarnem w kajaku 21.45 Wiadomości sportowe 22.00 Transmisja muzyki tanecznej z Berlina 23.05 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 14 października 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12,15 Muzyka rosyjska z płyt 13.25 Chwilka dla kobiet 15.30 Koncert zespołu tangowego z Wilna 16.00 Lekcja języka niemieckiego 16.15 Recital śpiewaczy 16.45 Skecz 17.00 Z obozu wakacyjnego dla dziewcząt pogadanka 17.15 Wiersze Witolda Zechentera 17,20 Koncert Orkiestry Wiesława Wilkosza 17.50 Pogadanka Brunona Winawera 18.00 Suita na dwa fortepiany — Rachmaninowa 18.30 Listy od dzieci 18.45 Muzyka lekka z płyt 19.25 Skrzynka rolnicza 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Audycja strzelecka 20.30 „Instrumentalne utwory w śpiewie" — płyty 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współczesnej 21.00 „Panna Andzia miała wczoraj wychodne" — lekka audycja muzyczna 21.30 IV. wieczór Kasprowiczowski 22.00 Koncert symfoniczny 23.05 Muzyka taneczna

Wtorek, dnia 15 października 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Audycja dla szkół 12.30 Koncert Orkiestry Adamskiej—Grossmanowej 13.25 Chwilka dla kobiet 13.30 „Z rynku pracy" 15.30 Muzyka lekka 16.00 Skrzynka P. K. O. 16.15 Muzyka symfoniczna 16.45 „Cała Polska śpiewa" 17.00 Wielkie i drobne wynalazki (odczyt) 17.15 Nieśmiertelne melodje Schuberta — koncert 17.50 Encyklopedja mówiona 18.00 Recital fortepianowy 18.30 Warszawa w literaturze i anegdocie 18.45 Popularne piosenki z płyt 19,00 Koncert reklamowy 19.25 Wiadomości rolnicze 19.35 Wiadomości sportowe 19,50 Pogadanka aktualna 20.00 Biuro studjów rozmawia ze słuchaczami P. R. 20.10 Koncert reprezentacyjnej orkiestry 36 p. p. 20.30 Muzyka klasyczna z płyt 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współczesnej 21.00 Przygoda w Grand-Hotelu radjooperetka 22.30 Ks. Onufry Kopczyński — prawodawca języka polskiego (feljeton) 22.45 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 16 października 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12,15 Anna Jabłonowska działaczka społeczna XVIII w. pogadanka 12.30 Koncert orkiestry kameralnej z Wilna 13.25 Chwilka dla kobiet 15.30 Muzyka salonowa 16.00 Wędrówka dookoła globu — pogadanka dla dzieci 16.20 Koncert utworów Bacha 16.45 Rozmowa muzyka ze słuchaczami 17.00 Nasze zebrania dyskusyjne 17.20 Muzyka 17.50 Świat się śmieje 18.00 Koncert solistów 18.30 Skrzynka ogólna 18.45 Muzyka lekka z płyt 19.25 Pogadanka społeczna 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Reportaż aktualny 20.00 Wesoła audycja muzyczna ze Lwowa 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współczesnej 21.00 V audycja z cyklu „Twórczość Chopina" 21.35 Z liryk norwidowskich 21.50 Tarczyca i jej hormon — odczyt 22.00 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 17. października 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Poranek muzyczny dla szkół powszechnych 13.00 Muzyka taneczna 13.25 Chwilka dla kobiet 15,30 Zespół Niny Mańskiej 16.00 Stary Doktor opowie o „Kocie w butach" 16.15 Muzyka lekka 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 Odczyt 17.15 Koncert Orkiestry P. R. 17.45 Książka i wiedza 18.00 Recital fortepianowy 18.30 Film, plastyka, architektura 18.45 Teodor Szalapin — z płyt 19.25 Poznajmy przepisy finansowo—rolne 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Utwory na cytrę 20.15 Powtórzenie transmisj „Rykowisko jeleni" 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współczesnej 21.00 Ostatni dzień słuchowisko w 125-rocznicę śmierci Chopina 21.35 Nasze pieśni 22.00 Koncert z cyklu „Kwartety Haydna" 22.35 Muzyka popularna.

Piątek, dnia 18 października 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Audycja dla dzieci starszych ze szkół 12.40 Utwory Saint-Saensa 13.25 Chwilka dla kobiet 13.30 Z rynku pracy 15.30 Zespół Zygmunta Grossmana 16.00 Pogadanka dla chorych 16.15 Koncert ze Lwowa 16.45 „Niezwykłe przygody panny Gapy" aud. dla dzieci 17.00 Reportaż 17.15 Wiersze Elżbiety Szemplińskiej 17.20 Trio a-moll-Brahmsa 17.50 Poradnik sportowy 18.00 Koncert solistów 18.30 Pogadanka aktualna 19.25 Skrzynka rolnicza 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Monolog aktualny 20.00 „O zmierzchu"... 20.50 Dziennik wieczorny 21.00 Obrazki z Polski współczesnej 21.05 Koncert symfoniczny 22.20 Mała orkiestra Polskiego Radja.

Sobota, dnia 19 października 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Mała Orkiestra P. R. 15.00 Nowela p. t. „Gońce Czarnej Królowej" — M. J. Wielopolskiej 15.30 „Głosy kobiece" audycja z płyt 16.00 Lekcja języka francuskiego 16.15 Muzyka jazzowa 16.30 Skrzynka techniczna 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 Kapitał i kredyt w gospodarstwie Polski 17.15 Nowości z płyt 17.45 Świat naszych zwierząt — Sielawa 17.50 Gród Maćka Borkowica — Koźmin — pogadanka 18.00 Słuchowisko dla dzieci 18.30 Przegląd wydawnictw 18.40 Pogadanka społeczna 18.45 Józef Szigetti z płyt 19.25 Przegląd rolniczej prasy 19.40 Wiadomości sportowe 19.50 Transmisja z Pragi Czeskiej 20.25 Muzyka z płyt 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współczesnej 21.00 Audycja dla Polaków z zagranicy 21.30 „Wesoła Syrena" 22.00 Pogadanka aktualna 22.10 Muzyka lekka.

Wśród warjatów

Upiór zamku Sokolskich

(Romans)

57)

„A, o próżnowaniu nie ma tam i mowy“, zawołała pani Galen, „dama, o której mówimy, przyjmuje wiele bardzo wizyt, tak panie jak i panów. Potrzebuje tedy osoby godnej zaufania, któraby gości przyjmowała, lokowała ich w rozmaitych przedpokojach i jej oznajmiała. — Do tego osoba taka potrzebuje pewnego wykształcenia, bo musi się stykać z ludźmi najrozmaitszych sfer. Tam przychodzą i pojedyńcze służące, jak i hrabiny, kupcy, studenci, sędziowie jak i generałowie.“

Anielci dziwnem się to wielce wydało. Dom, do którego tyle osób uczęszczało, musiał przecież służyć jakiemuś celowi.

Nie mogła zrozumieć, co ci wszyscy ludzie, o których pani Galen mówiła, od tej damy chcieli.

„Będę z tobą mówić całkiem otwarcie, moje dziecko“, ciągnęła dalej właścicielka biura, „dama, o której mówimy, nazywa się pani Gautier, znana jednak w całym Paryżu tylko pod nazwiskiem „nowa Lenormand“. — Słyszałaś może już co o niej, — nie? Nie czytałaś także jej ogłoszeń w gazetach? A, w takim razie nie wiesz nawet zapewne, kto była właściwie pani Lenormand?“

Anielcia musiała przyznać, że nazwisko to po raz pierwszy obija się o jej uszy. Poczciwy ojciec Dubois, który ją bardzo wielu rzeczy uczył, tego nazwiska przed nią nigdy nie wspomniał.

„Widać po tobie, żeś bardzo mało co z Paryża dotychczas skorzystała i właściwie go nie znasz“, zaśmiała się pani Galen, „bo inaczej musiałabyś stanowczo przynajmniej z nazwiska znać panią Lenormand. Powiem ci tedy krótko to, co będziesz musiała wiedzieć, gdy się dostaniesz do pani Gautier.

„Marja Anna Lenormand była najsławniejsza wróżka, jaka kiedy była na ziemi. Urodziła się, jeżeli się nie mylę, w Alencon we Francji i odebrała wychowanie u Panien Benedyktynek. W ten sposób otrzymała niepoślednie wykształcenie. Mówiła jedenastoma językami, grała, malowała, pisywała poezję i już jako młoda dziewczyna wróżyła przyjaciółkom swoim, odsłaniała im ich przyszłość. Założyła następnie w Paryżu osobne biuro. Nawet cesarze i królowie przychodzili tam i kazali sobie pani Lenormand wróżyć i przyszłość przepowiadać, bo sława jej po całym świecie się rozniosła. Kilka najgłośniejszych jej przepowiedni, które się rzeczywiście sprawdziły, wprawiły cały świat w zdumienie.

„Cesarzowa Józefa i car rosyjski Aleksander I zasięgali jej porady. O Napoleonie opowiadają, że był u niej kilka razy i to zawsze przed każdem ważnem przedsięwzięciem. I powszechnie wiadomem jest, że ówczesnemu władcy świata, odważnemu Korsykaninowi, cały jego los przepowiedziała. Przestrzegła go przed Rosją, on nie usłuchał jej. Po długiem naleganiu powiedziała mu, że będzie wygnany na wyspę położoną w morzu i umrze samotnie, i wiesz zapewne, moje dziecko, że się tak co do litery spełniło.

„Lenormand umierając pozostawiła oprócz dóbr w ziemi i zamku w Normandji, gotówkę w wysokości miljona franków.“

„To dziwne, doprawdy, proszę pani“, rzekła Anielcia, „zwłaszcza, gdy się rozważy, że to wszystko polegało na oszustwie. Bo któż z ludzi potrafi czytać, co przyszłość zapisała?“

„Nie mów tego, moje dziecko“, odparła pani Galen, „są ludzie, obdarzeni nadzwyczajnym zmysłem, zapomocą którego widzą to, co dla oczu drugich zakryte. Są rzeczy, chociaż uczeni nie chcą tego przyznać, o których się filozofom nigdy nie śniło. Zresztą pomyśleć sobie możesz, że pani Lenormand znalazła następczynie. Ale żadnej z nich nie udało się tak, jak pani Gautier, żadna z nich nie potrafiła takiej grać roli, jak ona.“

„Więc pani Gautier jest wróżką?“

„Tak, moje dziecko, i pewnie najsławniejszą nowoczesną. Dopiero przed kilkoma miesiącami zjawiła się w Paryżu, nikt nie wie, skąd przyszła. Ale to pewnie: jest to dama, nadzwyczaj dobrze wychowana, po której poznać zaraz, że pochodzi z najdystyngowańszej sfery. — Uprzejma z każdym, wspiera ubogich, chodzi w niedzielę do kościoła i prowadzi życie tak moralne, że panie naszej tak zwanej śmietanki towarzystwa śmiało przykład brać z niej mogłyby. Do tego bardzo przystojna, chociaż nie bardzo młoda. Charakterystyczne, wyraziste rysy twarzy, włosy czerwone, postać Junony sprawiają wrażenie, że w każdej sali balowej zrobiłaby sensancje.

„Chcę ci, moje dziecko, opowiedzieć wszystko o pani Gautier, co sama wiem, byś sobie jak najdokładniejszy obraz mogła utworzyć. Bardzo bogaci panowie ubiegali się o jej względy, ale sami potem przyznawali się, że pani Gautier z oburzeniem i pogardą odrzucała ich propozycje, okazując się przytem damą w najwłaściwszem słowa tego znaczeniu. —

„A teraz, zdecyduj się, moje dziecko: chcesz wstąpić do służby u pani Gautier, w takim razie może się to stać jeszcze dzisiaj. Dałabym ci polecenie, z którem udawszy się na ulicę rue Lafayette możesz być pewną, że zostaniesz przyjętą. — Co się tyczy wynagrodzenia, — pod tym względem możesz się śmiało spuścić na jej hojność. Zarabia ogromne sumy, — na pieniądzach nic więc jej nie zależy, — byleby tylko miała w domu młodą osobę, którejby zupełnie zaufać mogła“.

Anielcia musiała przyznać, że oferta, którą jej robiono, wszelkie możliwe nadzieje jej przewyższała. Jeżeli z odpowiedzią zwlekała i jak to powiadają, obydwoma rękami nie chwytała się, by to świetne stanowisko zdobyć dla siebie, to była jedna okoliczność powodem, mianowicie słowo „wróżka“.

Pod nazwą wróżki wyobrażała sobie zawsze kobietę, która żyła z ludzkiej łatwowierności, wykorzystywała ludzką głupotę, krótko mówiąc oszustkę.

Pani Galen wytłumaczyła jej jednak przed chwilą, że nie zawsze rzecz się tak ma.

Z drugiej strony właścicielka biura wcale w niedwuznaczny sposób dała do zrozumienia, że nie mając żadnych świadectw, ani myśleć o tem nie może, by mogła otrzymać jakie miejsce guwernantki lub bony. — Tak więc nie pozostawało jej nic innego, jak powiedzieć — tak i prosić panią Galen, by jej zaraz dała polecenie, z którego dziś jeszcze skorzystać chciała.

Gdy życzenia swoje w słowa ubrała i o danie jej takiego polecenia poprosiła, wyciągnęła do niej pani Galen rękę z serdecznością.

„Więc zgadzasz się, moje dziecko?“ rzekła pani Galen, „to mię bardzo cieszy, żeś się zdecydowała; wierzaj mi, że nie pożałujesz tego. A jeżeli będziesz rozsądną, i przyswoisz sobie pewną znajomość świata i ludzi, możesz zrobić jeszcze szczęście u pani Gautier“.

Z pewną niechęcią ujęła Anielcia podaną jej rękę. Sama nie zdawała sobie sprawy z uczucia, jakie nią owładnęło, — żałowała niemal w duchu, że postanowienie swoje tak prędko bez dłuższego namysłu wypowiedziała.

Pani Galen napisała kilka wierszy na karcie, włożyła ją do koperty, zaopatrzyła pieczęcią i wręczyła Anielci.

„Idźże więc teraz, moje dziecko“, mówiła, „cieszy mię serdecznie, żem przecież coś odpowiedniego dla ciebie znalazła. Kłaniaj się odemnie pani Gautier i — daj sobie wywróżyć przez nią piękną przyszłość“, dodała z uśmiechem. „Ale tej brakować ci nie będzie, bo dziewczyna, z taką twarzyczką, jak ty, moje dziecko, musi szczęście zrobić“.

Anielcia spuściła oczy, rumieniąc się.

Co za wartość miało to, gdy jej piękność chwalono. Wagi żadnej do tego nie przywiązywała, — zdawało się, jakby sama sobą nie była, i że ta piękność jej przekwitnie i uwiędnie, zanim promień słońca na nią padnie.

Raz tylko dziękowała Niebu, że ją pięknością obdarzyło, — raz tylko świadomość ta napełniała ją uczuciem szczęśliwości. Było to wtedy, gdy spczywała w ramionach Kazimierza, gdy w oczy kochanka swego spoglądała. Od czasu jednak, gdy go straciła, przestała cenić piękność, — co większa, nauczyła się nią pogardzać.

LXXXIV.

W domu wróżki.

Była już godzina mniej więcej czwarta i słońce skłaniało się ku zachodowi, gdy Anielcia kroki swoje na ulicę rue Lafayette kierowała.

Idąc mimo pierwotnej niechęci, nie ukrywała teraz przed sobą, że była nadzwyczaj ciekawą, poznać tę osobliwą kobietę, o której cały Paryż od kilku miesięcy mówił, dzienniki pisały, — że wzrok jej przeszywa oponę, dzielącą przyszłość od teraźniejszości.

Dom pani Gautier nie miał nic z zewnątrz na sobie, coby w oko wpa-

dało. Był to mały budynek z ogródkiem na froncie. Okna były zasłonięte jedwabnemi firankami. Obok drzwi wchodowych połyskiwała metalowa rączka od dzwonka.

Anielcia pociągnęła za nią i była nie mało zdziwioną, gdy drzwi się automatycznie otwarły same, bez służącego i napowrót się za nią zamknęły, jakby niewidzialną ręką ducha poruszane.

Zaledwie jednak kilka kroków uszła przez sień, której ściany marmurowemi freskami były ozdobione, gdy otwarły się drzwi w parterze i przed Anielcią stanęła postać, która według opisu pani Galen nikim innym być nie mogła, jak panią Gautier.

Anielcia przystanęła i z pewnem odcieniem trwogi, a zarazem z podziwem przypatrywała się sławnej wróżce paryskiej.

Co za śliczna kobieta, — co za postać wspaniała, wzrostu wielkiego i smukła, a przytem o pełnych formach, które z pod ciemnej, jedwabnej osłony przeglądały, — wyraziste, niemal męskie rysy twarzy, która blada, z powodzi czerwonych włosów wyglądała. Do tego drobne nóżki, nienagannej białości ręce, arystokratyczny wzrok wielkich, ciemnych, ognistych oczu. Nie, zaiste, ta kobieta nie zawsze przepowiadaniem przyszłości się trudniła, — nie zawsze oddawała się zajęciu, które nasuwało pewne wątpliwości, i przez jednych wynoszone pod Niebiosa, przez drugich najzwyczajniejszem oszustwem było nazywane.

Ta kobieta należała, — Anielcia czuła to instynktowo, — do wysokich a może nawet do najwyższych sfer towarzystwa. A zanim nabrała sławy, jako nowa Lenormand paryska, mieszkała może w wielkim zamku lub pałacu uprzywilejowanych.

Ale gdy z jednej strony Anielcia była przepełniona podziwem na widok tej pięknej a dumnej kobiety, tak z drugiej strony pani Gautier nie wychodziła ze zdziwienia, patrząc na dziewczynę, która zdawała się robić na nią ogromne wrażenie.

Gdy pani Gautier otworzyła drzwi i na progu stanęła, otworzyła usta, jakby chciała przemówić, o cel przybycia dziewczyny pytać. Ale głos snać jej zamarł na ustach. Stała i patrzyła na nią ze wzrastającem zainteresowaniem się, a zarazem jakby zdziwieniem, że tu w te progi zawitała. Ale zdziwienie musiało mieć jakąś podstawę, w czemś innem być ugruntowanem, bo przemieniało się zwolna jakby w przerażenie. Wróżka nie mogła utrzymać się na nogach, oparła się o drzwi, jakby była bliską omdlenia.

„Przepraszam", rzekła Anielcia swym dźwięcznym głosem, „mam zaszczyt zapewne mówić z panią Gautier?"

„Tak, jestem nią", odparła wróżka dziwnie szybkim ruchem kładąc ręce na głowie, — na czerwonych włosach bujnych, — „proszę bliżej, moja panienko, — proszę wejść do pokoju, tam pomówimy z sobą".

I jakby się nie mogła doczekać chwili, kiedy Anielcia znajdzie się w pokoju, chwyciła szybko, jakby ociągającą się jeszcze dziewczynę, za rękę i wciągnęła ją za sobą do pokoju.

To był niezawodnie jej mieszkalny pokój, w którym przebywać musiała, gdy gości nie było. Zachwycające mieszkanko, — pełne wygody, — powietrze przesycone zapachem fiołków.

Pani Gautier postąpiła w róg pokoju, gdzie przy oknie na skórach niedźwiedzich stały dwa jedwabiem pokryte fotele.

Ze wszystkich sprzętów w pokoju, — komfortu, jaki tu panował, wyglądało bogactwo, — a sposób urządzenia zdradzał niepośledni smak artystyczny.

„Zapewnie przyszłaś pani", rzekła pani Gautier, ręką na obok stojące, wolne krzesło wskazując, — „by sobie dać przyszłość wywróżyć. Ale nie zawsze jestem w stanie odsłaniać zasłonę, za którą się przyszłość kryje, — wzrok mój nabiera przenikliwości tylko w pewnych chwilach —"

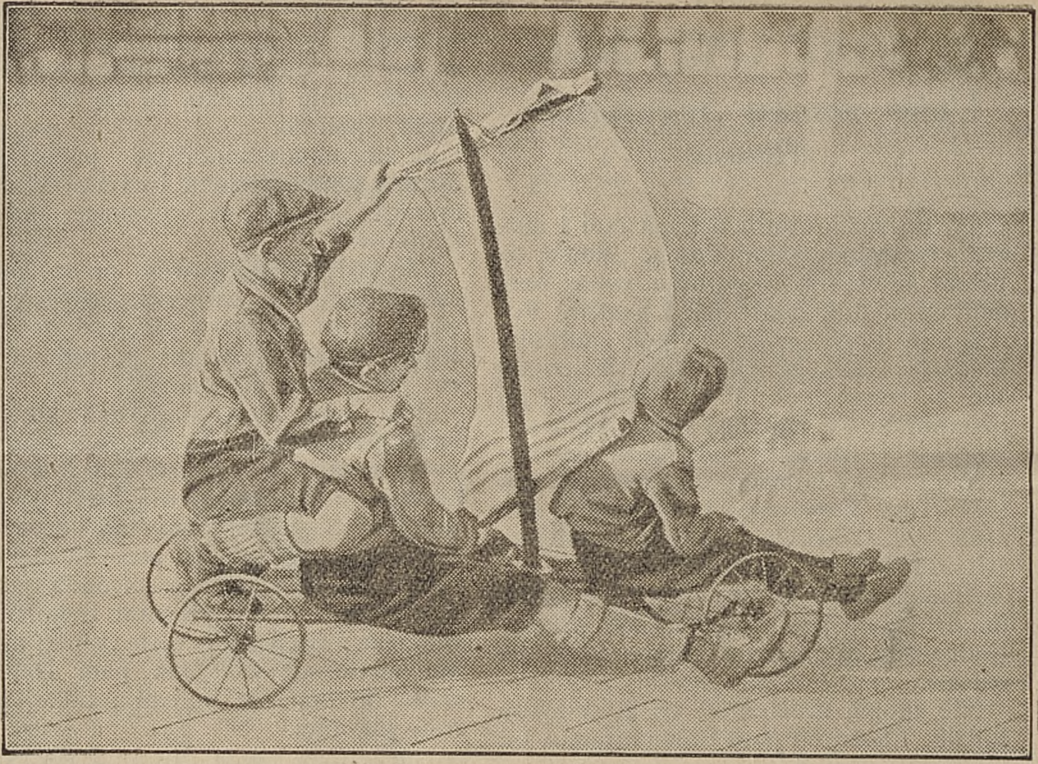
„Przepraszam, pani pozwoli, że ją przerwę i błąd sprostuję", Anielcia. „Nie przyszłam do pani, by prosić o rozwiązanie zagadki przyszłości, bo należę do tych nieszczęśliwych, dla których przyszłość wogóle nie istnieje.

„O nie, — daleko skromniejsze życzenie sprowadza mię tutaj. Lecz wprzód, pani będzie łaskawa przeczytać list pani Galen, z którego się pani niezawodnie o wszystkiem dowie".

„Pani Galen", zawołała pani Gautier, przymykając oczy napół, „tak, prawda, przypominam sobie, to jest właścicielka biura pośredniczeń, której dałam zlecenie, by mi się postarała o osobę, któraby mi była w domu pomocną i mojem małem gospodarstwem się zajęła".

„Tak jest, proszę pani i z tego powodu przysyła mię tutaj pani Galen".

Piękna kobieta wzięła zwolna list z rąk Anielci, nie otwierała go jednak, tylko wpatrywała się ciągle jeszcze w dziewczynę, jakby twarz jej przedstawiała dla niej zagadkę, której rozwiązać nie była w stanie.



Wzorując się na saniach żaglowych, zagranicą wprowadzono zastosowanie żagla do wózków, jakie widzimy na zdjęciu.

„Zanim list ten otworzę", rzekła po upływie kilku sekund, „bądź tak dobra panienko i powiedz mi swoje nazwisko"

„Nazywam się — Anielcia Dubois".

W tej chwili list wypadł z drżących rąk pięknej wróżki i jak biały motyl zleciał na miękki kobierzec.

Anielcia schyliła się szybko, by go podnieść. Z tej chwili skorzystała pani Gautier, by głęboko odetchnąć, — ogromne wzburzenie snać owładnęło nią, od którego pierś jej gwałtownie zafalowała. Na kilka sekund twarz jej pokryła się falami, — trwało to jednak tylko chwilę, w następnej już, pod żelaznym wysiłkiem woli, zdaje się, wyjaśniło się napowrót i pokryło się marmurową bladością, z której zimno wiało.

Gdy Anielcia się podniosła i list pani Gautier podała, spojrzała ostatnia na nią już z pozorną obojętnością.

„Anielcia Dubois, nazywasz się panienka, — a więc Francuzka, może nawet tu w Paryżu urodzona?"

„Nie, pani, Polką jestem", odparła dziewczyna, „ale wychowałam się w Paryżu. Jeden poczciwy staruszek zajął się mną, bom nie znała ani ojca, ani matki".

Wróżka rozerwa łakopertę, przebiegła wzrokiem treść karty i odłożyła ją na bok.

„Pani Galen poleca cię, moja panienko, bardzo gorąco", rzekła następnie nadzwyczaj uprzejmie, „sądzi, że znalazła w osobie twojej taką, jakiej ja właśnie potrzebuję. Możesz więc zostać u mnie, naturalnie, jeżeli ci odpowiada służyć u mnie. — Nie, nie przerywaj mi, moje dziecko, — wiem bardzo dobrze o tem, że przesądy są przeciwko mnie i z wielu stron mam wrogów.

„Jedni podziwiają mnie, drudzy zazdroszczą mi, — a dla wszystkich jestem zagadką. — Ale zadaniem twojem będzie nie tylko wróżce służyć, ale i kobiecie, która po całodziennym trudzie tu w tym pokoju chce wytchnąć i w wolnych chwilach żyć i dla siebie, — a



Nad morzem bardzo dużo ptaków zabiera się do odlotu w dalekie, zamorskie kraje.

wtedy chciałaby mieć koło siebie młode dziewczę, z którem bym mogła swobodnie porozmawiać. Drobne obowiązki gospodarskie musiałabyś przytem naturalnie spełniać, — ale o cięższej jakiej robocie naturalnie nie ma i mowy".

„O pani, — od żadnego obowiązku usuwać się nie będę", zawołała Anielcia, „pracuję chętnie i nie uważam żadnego rodzaju roboty za wstyd".

„Całkiem słusznie, jestem tego samego zdania. Tymczasem jeszcze jeden przymiot powinnaś posiadać, jeżeli chcesz stale u mnie pozostać. Może i odgadłaś już sama, bo w domu wróżki dzieje się niejedno, co się słyszy i widzi, ale się o tem nie mówi, — krótko mówiąc: musisz milczeć i nie być nigdy ciekawą".

„Pani", rzekła Anielcia po krótkim namyśle, „przeszłość moja nasuwa mi tyle do myślenia, że ani teraz, ani w przyszłości nowych wrażeń nie szukam. Pani była otwartą wobec mnie, — proszę mi pozwolić, że równą otwartością odpłacę. Noszę w mojem sercu ból i zgryzotę, od którego przed czasem postarzałam się".

„Co, — ty stara?" zaśmiała się pani Gautier. „Ależ ja widzę prawdziwe wcielenie kwitnącej młodości w tobie".

„Wiek duszy, proszę pani, jest tysiąc razy gorszy od wieku, który się maluje na twarzy", rzekła Anielcia ze łzami w oczach, „o, niech mi pani wierzy, — ja tyle już strasznych rzeczy przeżyłam, żem księgę mego życia prawie już zamknęła i niczego więcej dla siebie nie pragnę, jak tylko pewnego przytułku i cichego kąta, gdziebym od czasu do czasu grzebać w moich wspomnieniach i pomarzyć mogła".

Osobliwszy uśmiech zaigrał na ustach pani Gautier, — uścisnęła serdecznie rękę Anielci i rzekła do niej:

„Ten cichy kąt, którego szukasz, znajdziesz u mnie! Zostań tylko u mnie, kochane dziecko, — jak widzę, zgodzimy się obydwie, ja także jestem rozbitkiem na falach życia, — i mnie napełniają goryczą wspomnienia, — dzielić się będziemy wspólnie bólami, — i to nam ulży! Możesz zaraz zostać u mnie, czy musisz jeszcze wracać do domu?"

„Do domu?" powtórzyła Anielcia. „Ja nie mam domu, — a jeżeli pani tak łaskawa i chce zaraz rozporządzać moją osobą, zostanę tu i uwiadomię kartką tę kobietę, u której dzisiejszą noc przepędziłam, gdzie jestem i poproszę ją, by mi moją torbę podróżną przyniosła".

„Napisz więc zaraz", rzekła pani Gautier, „wejdź tu do tego małego gabineciku, w którym pracować zwykłam. Znajdziesz tam wszystko, czego potrzebujesz do pisania".

„Dziękuję pani!"

Z temi słowy przeszła Anielcia do drugiego pokoiku, gdzie zasiadła przed eleganckiem rzeźbionem biurkiem dębowem.

Pani Gautier tymczasem popuściwszy folgi swemu rozdrażnieniu, zaczęła przechadzać się po miękkim kobiercu, — muszkuły jej twarzy były naprężone, — oczy świeciły dziwnym blaskiem, — snać coś ją niepoślednio wzruszyło.

„Tak!" — mówiła do siebie, — „to jest Anielcia, — prawdziwa córka hrabiego Zygmunta Sokolskiego! Co za szczęśliwy przypadek! Znalazłam ją, chociaż nie szukałam, bo nie mogłam nawet przypuszczać, że ją gdzie znajdę. To jest dopiero cenny nabytek, — podarek losu, który wykorzystać muszę, — i niezawodnie wykorzystam! — Drżyj teraz przedemną, ty nędzna kreaturo, którą córką swoją zwać muszę!

„O, — długo miejsca tego w świecie, które zdobyłaś sobie kłamstwem i intrygami, zajmować nie będziesz! Gdybym miała nawet dziecko mojej dawnej współzawodniczki, obłąkanej Almy, na twoje miejsce posadzić! — Tysiąc razy wolę, by tą, której się to szczęście właściwie należy, lepszej doli zaznała, aniżeli ty niewdzięcznico, która śmiałaś własną matkę oblewać jadem szyderstwa!

„Dopięłaś wprawdzie tego, czegoś chciała, — zostałaś żoną Kazimierza, — ale nie tryumfuj! — Niebawem przyjdzie czas, kiedy on odwróci się z pogardą od ciebie i odepchnie cię od siebie, — ja jemu i Zygmuntowi otworzę oczy, kogo właściwie miłością otoczyli, kto jest ta nikczemna kobieta, która była tylko narzędziem zemsty w mem ręku! — Teraz nareszcie mam dowody w rękach, których mi brakowało. Teraz mogę cię zdemaskować, ty podła kreaturo! — Poczekaj tylko, ty piękna hrabino Lolo Zamska, ponad twojem szczęściem ściągają się czarne chmury nawalne, — wnet piorun uderzy, — a wtedy, — wtedy będziesz mogła wrócić napowrót do „Zielonej Papugi", — i znowu będziesz tem, czem dawniej byłaś: — Lolą, piękną królową walca!"

LXXXV.

Bocznemi drogami.

„Pan mię wezwał, panie prefekcie!"

Z tymi słowami przestąpił Lister, głośny detektyw, próg ze zbytkiem urządzonego biura prefekta policji paryskiej, mniej więcej pięćdziesięcioletniego mężczyzny, który go z uprzejmością powitał.

Już oddawna znał prefekt Listera, — nieraz już w ważnych wypadkach korzystał z jego rady i czynnej pomocy, zwłaszcza gdy starania jego własnych, policyjnych agentów okazały się bezowocnemi, — Lister wtedy właśnie pokazywał, co umie, bo najtrudniejsze zagadki kryminalne rozwiązywał bystrością umysłu swego. W ten sposób niejedną już cenną przysługę wyświadczył prefektowi policji.

„Tak jest, prosiłem pana, panie Lister!" rzekł dystyngowany prefekt, podając mu rękę. — „Proszę, usiądź pan i zapal przedewszystkiem cygaro, — wygodniej się tak mówi".

Lister poznał, że prefekt ma jakieś bardzo ważne zlecenie dla niego, — bo należało to już do przyzwyczajenia prefekta, że w takich tylko razach traktował go cygarami.

„Nie złe, co?" podawszy mu ognia, po chwili zapytał. „Otrzymałem wprost z Hawanny! A teraz przystąpmy do właściwej sprawy. Posłuchaj pan, czego od niego żądam. Leży mi coś na sercu! A bez pana nie idzie, nie mam niestety ludzi, na których mógłbym bezwarunkowo spuścić się!"

„Ależ, panie prefekcie, pan ma pod sobą przecież wzorową falangę detektywów!"

„Nie przeczę", rzekł po chwilce jakby namysłu prefekt, „ale wie pan, — ja jestem jak nałogowy zbieracz przedmiotów jakiegoś rodzaju. Jeden zbiera marki, drugi laski, trzeci cybuchy do fajki, i tak dalej. A wszyscy mają to

wspólnego, że każdemu z nich coś niedostaje. Każdy z nich po nocach całych zaprząta sobie głowę myślą, jakby to jakiś przedmiot, który gdzieś widział albo o nim słyszał, dostać do swojego zbioru. Tak samo ma się rzecz i ze mną. Wie pan, czego mi niedostaje do mojego zbioru, panie Lister?"

„Panie prefekcie", odrzekł z grzecznym uśmiechem ajent, „jestem zawsze na pańskie usługi, ilekroć razy pan odemnie tego zażąda, — ale jak już panu wiadomo, na to się nigdy nie zdecyduję, poświęcić się wyłącznie na usługi jednego państwa! Ja służę całej ludzkości!"

„Wiem, wiem o tem i podziwiam pana. — Kiedy inaczej być nie może i w ściślejszy kontakt urzędowy wejść z sobą nie możemy, musze znowu zaapelować do bystrości pańskiego umysłu i poprosić o pomoc! Mam dla pana specjalne zadanie, które wymaga nadzwyczajnej przebiegłości i sprytu, — za dokonanie tegoż każę panu naturalnie wypłacić sumę, jaką pan sam zażąda!"

„O, co do tego, panie prefekcie, to proszę zgóry sumę tę rozdzielić między ubogich miasta Paryża!"

„Wspaniały człowiek!" pomyślał w tej chwili prefekt, któremu nawet nie przyszło na myśl, że ten, o którym takie wzniosłe miał mniemanie, był jednym z najprzebieglejszych łotrów paryskich.

„Od niejakiego czasu", ciągnął dalej prefekt, z widoczną lubością delektując się wonnym zapachem swego cygara, „bawi w Paryżu osoba, która mi daje bardzo wiele do myślenia, i jest dla mnie na razie zagadką do nierozwiązania! Utrzymuje stosunki z najwyższemi sferami towarzystwa paryskiego. Panie i panowie z pierwszych rodów bywają u niej i dają sobie przyszłość przepowiadać przez nią.

Co więcej, mam dowody w ręku, że w kilku przypadkach wpłynęła na los ich nawet, — a najgorsza to, że zbiera ogromne sumy pieniędzy i w ten sposób ograbia wprost kieszenie łatwowiernych! Czy mam panu wyraźnie powiedzieć, kogo mam na myśli?"

„Zbyteczne, panie prefekcie!" odparł detektyw. „Nikt inny jak wróżka pani Gautier przy ulicy rue Lafayette!"

„Całkiem słusznie!" rzekł z uśmiechniętą miną prefekt, „tak, — mówię o niej. Jakie jest pańskie zdanie o tej awanturnicy?"

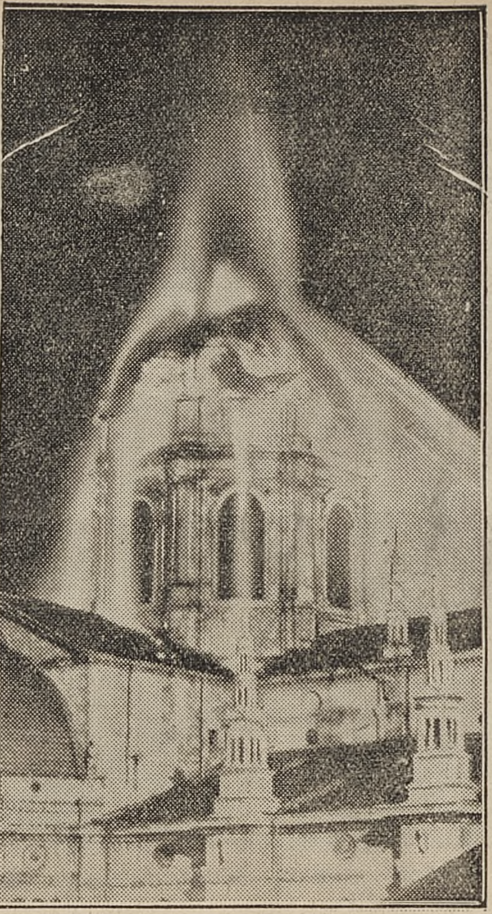
„Na oczy nie widziałem jej jeszcze dotychczas", odparł Lister, „ale to, co o niej, słyszałem, napełniło mię podziwem względem niej!"

„Co, podziw? Pan żartujesz chyba! Wróżka, — toż to bezwarunkowo to samo, co oszust, wydrwigrosz!"

„Z tem się nie zgadzam, panie prefekcie, — jedna miara nie dla wszystkich!" powiedział detektyw.

„Mój panie", przecież pan nie będzie wierzył, że ta pani Gautier posiada dar odsłaniania przyszłości i przepowiadania ludziom prawdy!"

„Mojem zdaniem, panie prefekcie, kobieta ta ma nadzwyczaj bystry umysł. Z pojedyńczego ruchu gościa swego, z miny, ze stroju, ze sposobu, w jaki na jej pytania odpowiada, potrafi odgadywać stosunki jego. A jeżeli daje następnie



W starożytnej, pochodzącej z 14 stulecia katedrze w Como wybuchł pożar kopuły. Straż pożarna zdołała ogień ugasić, tak, że nie doszło do większego zniszczenia tej świątyni włoskiej.

trafne i rozumne odpowiedzi, ja tego nie nazwałbym oszustwem".

„Jak długo to ma charakter zabawy", odparł urzędnik, „nie mam nic przeciw temu. Ale, jeżeli każe sobie za to od jednego trzysta, od innego zaś tysiąc franków płacić, w takim razie żarty wszelkie ustają, — staje się to występkiem, którego płazem puszczać nie możemy!"

„A czy pan wie, panie prefekcie, że już kilka przepowiedni pani Gautier spełniło się w sposób, o jakimby nikt nie przypuszczał? Niedawno temu był u niej wychowanek szkoły wojskowej Saint Cyr, potomek jednej z najbogatszych rodzin paryskich, by mu wywróżyła przyszłość. Przestrzegała go przed — sroką.

„Cóż mi może zrobić taki nieszkodliwy ptak?" rzekł jej młody milioner. „Zresztą dobrze, będę jej unikał!" —

„Niedługo potem panicz ten wyjechał na krótki pobyt dla rozglądnięcia się po świecie, za granicę. Tam, w czasie wycieczki, razu pewnego chciał przeprawić się łódką przez rzekę. — Na środku rzeki górskiej, mocno wezbranej, łódź przewraca się a on tonie się. — A wie pan, jak się ta rzeka nazywała? — Sroka!"

„Przypadek!" zawołał prefekt i strzepnął gwałtownie popiół z cygara do japońskiej popielniczki.

„Pan nazywa to przypadkiem? Dobrze, niechaj tak będzie, panie prefekcie. — Ale co pan powie w takim razie o tej historji z panią Lorange?"

„Co to za historja?" pytał prefekt.

„Pani Lorange jest, jak panu wiadomo, pierwszą baletnicą wielkiej Opery", opowiadał Lister, „i jest nadzwyczaj zabobonna. Regularnie co tygodnia chodzi do wróżki i każe sobie wróżyć. Dotychczas przepowiadała jej same dobre rzeczy. Ale przed dwoma tygodniami mniejwięcej, gdy znowu przyszła, zastała panią Gautier bardzo poważnie nastrojoną. — Ze współczuciem oznajmiła wróżka swemu gościowi, że widziała panią Lorange we śnie z czarnym welonem, jako oznaką żałoby. — Od tego dnia począwszy, pani Lorange ukazywała się na ulicy tylko z jasnym welonem. Nosiła zielone, szare, białe welony, chociaż przedtem przenosiła kolor czarny nad wszystkie, wiedząc jak jej w nim do twarzy. — Przed ośmiu dniami dostała nagle napadu febry, — lekarz skonstatował początek czarnej ospy, — a w dwa dni potem był już i czarny welon, bo twarz cała była czarną ospą pokryta!"

„To straszne!" zawołał prefekt. „Ale z tem wszystkiem, panie Lister, musi się pan koniecznie dowiedzieć, kto ona jest właściwie, pani Gautier, — skąd przybyła, — i co robiła przedtem. — Powiem panu otwarcie, mnie byłoby to zresztą obojętne, ale ona styka się z wysoko położonemi osobami, względem których ja znowu mam obowiązki, — i te osoby życzą sobie bliższych szczegółów o niej.

„Niektórzy ludzie myślą sobie, że prefekt policji jest wszystkowiedzący. Ale, mój Boże, — jam nie kulawy djabeł, co dachy odkrywać może, by widzieć wszystko możliwe, co się dzieje pod nimi! — A więc panie Listerze, przyjmuje pan zlecenie?"

„Przyjmuję!" odparł detektyw.

„A kiedy będzie mógł mi pan powiedzieć, kto ona jest?"

Lister namyślał się chwilkę, wkońcu rzekł:

„Za trzy dni będzie pan prefekt wiedział, kto i zacz jest ta wróżka!"

— — — — — — —

Wieczorem tego samego dnia zatrzymał się elegancki ekwipaż przed domem przy ulicy Lafayette, z którego wysiadła wytwornie ubrana dama.

Elegancja i szyk, z jakim suknie nosiła, zdawały wskazywać na Paryżankę. Za pociągnięciem rączki od dzwonka, otwarły się mechanicznie drzwi, — a gdy stanęła zaledwie w sieniach, dał się słyszeć głos z góry:

„Proszę do gabinetu nr. 7; prosto po schodach!"

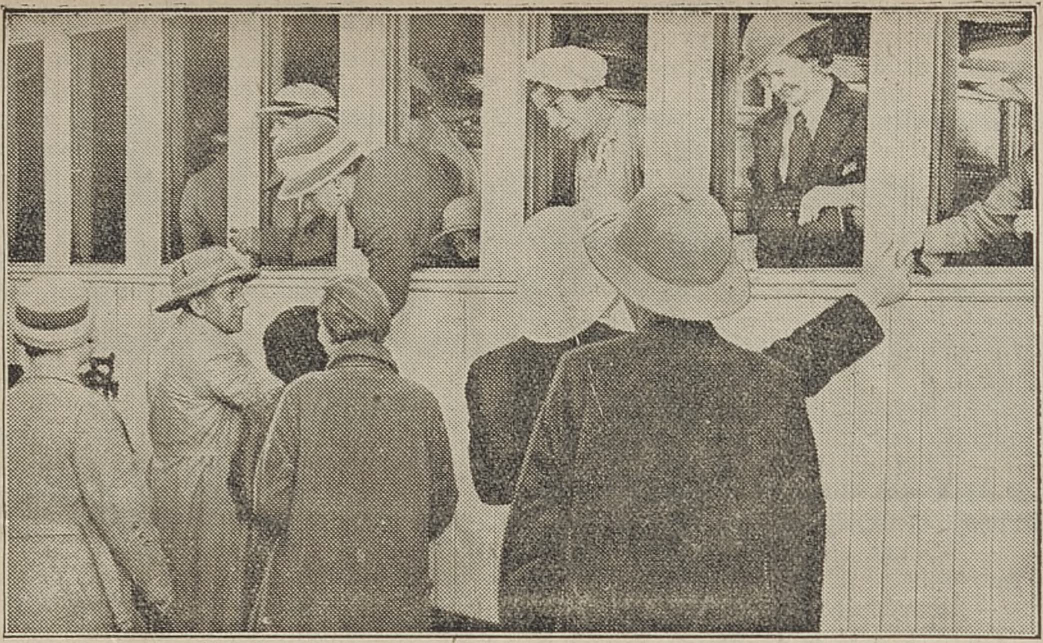
Pani ta nie mogła widzieć tej osoby, która do niej mówiła. Nie ujrzała jej również, gdy znalazła się na pierwszem piętrze. Za to wprost naprzeciw siebie odkryła na drzwiach numer siedem, — do którego też bez wahania weszła.

Był to mały, ale z jak największym komfortem urządzony pokoik. Czerwonym jedwabiem pokryta sofa stała pod jedną ścianą, mały stoliczek pod drugą.

Biały kobierzec pokrywał podłogę, — na ścianach wisiały obrazy, przedstawiające po większej części sceny z historji biblijnej.

Dama siedziała sama z pięć minut, gdy nagle otwarły się drzwi, przez które weszła.

Elegancko ubrany pan jakiś, z kapeluszem głęboko na czoło nasuniętym, przekroczył próg.



W związku z coraz groźniejszą sytuacją w zatargu włosko-abisyńskim kolonja europejska opuszcza gromadnie stolicę Abisynji. Na zdjęciu chwila pożegnania na dworcu w Addis Abebie.

Na kilka kroków od sofy oddalony, spojrzał uważniej na siedzącą panią i rzekł:

„Przepraszam najmocniej, — wskazano mi gabinet numer ósmy."

„To jest numer siódmy!" odpowiedziała pani.

„Przepraszam najmocniej!"

Mężczyzna, młody człowiek, był nadzwyczajnej piękności, a twarzy interesująco bladej. Oddalił się spiesznie.

Zaledwie jednak zamknął drzwi za sobą, gdy dama głośnym wybuchła śmiechem:

„Więc pan hrabia Kazimierz Zamski zachodzi do pani Gautier! Rzeczywiście, bardzom ciekawy, czego on się chce od niej dowiedzieć. O tej dziewczynie, co już nie żyje oddawna! Miałażby Lola być powodem jego wizyty tutaj? — Do licha, — Celestyna już mi oddawna nie przyniosła żadnej wiadomości o niej! Muszę moją piękną, rudą dziewczynę do siebie zawezwać, i do większego posłuszeństwa zmusić!"

Po tych słowach sądząc, nie trudno odgadnąć, że tą elegancką damą, która przybyła do pani Gautier, by sobie dać wywróżyć przyszłość, był nie kto inny, jak Lister — detektyw, który obrał tę drogę, by dokonać zlecenia prefekta policji paryskiej, badając tajemnice nowoczesnej Lenormand.

Przebranie się detektywa było znakomite. Już to właściwość tę posiadał w w wysokim stopniu, — łudzić udałemi maskami tych, których chciał obserwować, względnie wybadać. Ale dziś przewyższył sam siebie.

Nikt by się nie domyślił, że pod tą smukłą, elegancką kobietą, która swą ciemną, jedwabną toaletę z takim szykiem nosi, ukrywa się mężczyzna. Nikt nie wpadłby na myśl, że pod tym welonem, ciemno-blond peruką z lokami, wielkich rozmiarów kapeluszem z dwoma kosztownemi piórami jest twarz detektywa.

Ale gdy nawet i welon podniósł, nie można go było poznać. Żaden aktor nie posiadał w tak wysokim stopniu sztuki barwienia się, jak on. Silnie łukowate brwi, delikatna, różowa cera, dyskretnie różowe usta, — to wszystko razem wzięte składało się na urok, jaki rzeczywiście piękna tylko twarz kobiety wywołuje. Czarna broda, którą Lister zwyczajnie nosił, była sztuczna, — przebierając się więc za kobietę, kłopotu z nią nie miał żadnego.

„Byleby tylko nie kazała mi długo czekać", mówił do siebie detektyw, krocząc niecierpliwie po pokoiku, „naprawdę, coraz ciekawszy jestem poznać tę panią Gautier, o której cały Paryż mówi, do której najbogatsi i najbardziej poważani ludzie z całego Paryża się schodzą a poco? — By się dać wodzić za nos przez nią.

„Przynajmniej zrobiłem już jedno ciekawe odkrycie w tym domu", ciągnął po małej pauzie, mówiąc sam do siebie, „przekonałem się, że hrabia Zamski dom ten swoją obecnością nawiedza. Czy też i on chce dać sobie przyszłość wywróżyć? Cobym dał za to, gdybym wiedział, co go tu, do tej Sybilli sprowadza."

Zainteresowanie się detektywa wizytą Kazimierza, nie tyczyło się wcale osoby młodego hrabiego, jak raczej żony tego — Loli.

Chociaż Lister tej pięknej i młodej kobiety nie widział od czasu, gdy jako woźnica przebrany, wiózł ją i Alfreda Robbera — i ostatniego oddał policji, to jednak przez czas ten cały nie zapomniał o niej ani na chwilę.

Wdzięki Loli zanadto wryły mu się w pamięć.

Lister miał burzliwą przeszłość za sobą. Najpiękniejsze kobiety i dziewczęta spoczywały w jego ramionach, — bo też do uwiedzenia ich, — posługiwał się niezwyczajnemi środkami.

Mało która z kobiet potrafiła się oprzeć jego tajemniczemu wzrokowi. Padały w jego ramiona, jak dojrzały owoc, — a on nie przebierał we wieku: czy to rozkwitły zaledwie pączek, lub też rozwinięta w pełni róża.

Ale Lola, — od tego czasu, jak była raz u niego, nie przyszła więcej, — mimo całego swego sprytu, ogromnych konneksji, mimo swego na przeszłości opartego doświadczenia, mimo bezwzględnej odwagi, — nie mógł znaleźć żadnej sposobności, by się z nią zejść sam na sam.

Ale nie spuszczał jej z oka, — nieraz, na Bulwarach, jak cień kroczył za nią, — gdy ona bliskości jego nawet nie przeczuwała. Nieraz w przebraniu jakiemś wchodził za nią do Louvru, czuwał nad nią z daleka, — tego jednego dnia tylko niestety za późno, — wtedy kiedy Lola padła ofiarą Alfreda Robbera.

Ale Lister poprzysiągł sobie, że Lola należeć będzie do niego, — o ten człowiek zwykł był dotrzymywać tego, co postanowił.

Tok myśli, którym się w tej chwili oddawał, przerwał szczególniejszy szelest, wychodzący od ściany naprzeciw sofy.

Nagle otwarły się na ścianie jakby małe drzwiczki, i gdy Lister podniósł wzrok swój, ujrzał ze zdziwieniem na ścianie czarną tablicę, którą silnie wypięty kawałek jedwabiu tworzył.

Zaledwie Lister zaczął sobie zdawać sprawę z tego niezwykłego zjawiska, gdy nagle niewidzialna ręka zaczęła pisać płomienistem pismem na tablicy.

Literę obok litery, — za małą chwilę widniały na czarnej jedwabnej tablicy, jaskrawo-czerwonemi głoskami wypisane następujące słowa:

„Strzeż się podnosić zasłonę, która przyszłość przed tobą zasłania. Jeżeli twa wola silniejsza od przestrogi, otwórz drzwi tapetowe za sofą".

W kilka sekund później zgasł płomienny napis, — czarna tablica zniknęła — i ściana naprzeciw niego przybrała dawniejszą postać.

„Co prawda", rzekł do siebie Lister, „ta nowoczesna wyrocznia zna się na swoich interesach. Przestrzega ludzi, co przychodzą do niej, by dać sobie przyszłość wywróżyć w sposób, który ich ciekawość jeszcze bardziej podrażnia. Ale, ale, gdzież te drzwi tapetowe, o których tajemnicze ogłoszenie mówi? — Otóż, zdaje się, że tu są!"

Zauważył właśnie, że za sofą, na tapetach ściany zarysowała się szpara, prawdopodobnie od wcięcia drzwi pochodząca.

Odsunął sofę nieco od ściany i rzeczywiście ujrzał małą korbkę, którą gdy skręcił, otwarły się drzwi tapetowe.

Zdjęty ciekawością wszedł przez nie i znalazł się w ciemnym korytarzu. Ręka jakaś niewidzialna wzięła go za ramię, a ucha jego doszedł szept:

„Nie bój się pani, chodź za mną!"

Lister, któremu na odwadze nie zbywało, prowadzony szedł spokojnie, — i nie trwało długo, a na korytarz padło matowe różowe światło, — kotara, której z początku rozpoznać nawet nie mógł, usunęła się na bok, i — gość pani Gautier znalazł się w sali, tak słabo jednak oświetlonej, że oczy jego musiały się dopiero przyzwyczaić do tego półświatła, które w nim panowało.

Z ręki, która go prowadziła, nie było ani śladu, — Lister był sam jeden.

W tem nagle, — huk, jakby od uderzenia piorunu, tak, że zdawało się, iż cała sala wstrząsła się, — potok olśniewającego światła wpadł do pokoju, — i Lister znalazł się przed sławną wróżką Paryża. (C. d. n.)

H-U-M-O-R



— A mam was, ptaszki! Powiedzcie mi zaraz, co wy tam robicie?...

— Zawieszamy jabłka, proszę pana, które wiatr postrząsał.

Neurologja

Profesor C... jest bardzo roztargniony, co często stawia go w kłopotliwych sytuacjach. Aby temu zaradzić postanowił udać się do lekarza neurologa.

Prawie godzinę siedział w poczekalni. Gdy wreszcie został wezwany do gabinetu, zdjął szybko marynarkę i kamizelkę i, zabierając się do zdejmowania spodni, powiedział:

— Panie doktorze, z dnia na dzień staję się coraz bardziej roztargniony. Mam nadzieję, że pan doktór potrafi mi pomóc...

Starszy pan, siedzący za biurkiem uśmiechnął się i odparł:

— Wierzę, że jest pan roztargniony, lecz niestety nie mogę panu nic poradzić. Pozatem zechce pan ubrać się... Tu jest konsulat hiszpański!...

Rybak

Przechodząc brzegiem Wisły, ujrzałem dziwny widok. Jakiś człowiek łowił ryby na wędkę, co chwila wyciągał wspaniałą rybę, odczepiał i z głośnem przekleństwem rzucał spowrotem do wody. Przetarłem zdumione oczy i wołam:

— Bójcie się Boga, człowieku! Dlaczego wyrzucacie takie wielkie ryby?

— A psiakrew, — złości się rybak — same duże ryby leżą na haczyk, a ja mam bardzo małą patelnię.

Może tylko jedno...

Pasażerowie wycieczkowego statku po morzu Śródziemnem, urozmaicają sobie podróż najrozmaitszemi rozrywkami. Grają w tenisa, kąpią się w basenie, grają w bridża, szachy, flirtują, tańczą itp. Jeden tylko pasażer, Anglik, leży całemi dniami na leżaku i nie bierze udziału w żadnych zabawach. Ten i ów z gości usiłuje wciągnąć Anglika w wir zabawy, jednakże bezskutecznie. Wreszcie jeden z pasażerów zirytowany separowaniem się Anglika, zwraca się do niego:

— Niech mi pan powie, dlaczego nie chce się pan z nami bawić?

— Tylko dlatego — odpowiada Anglik z angielską flegmą — że naraz dwóch rzeczy z zasady nie robię!

— No tak..., ale co właściwie pan teraz robi?

— Podróżuję!

Jak Kuba Bogu...

— Ależ Kasiu! Czy nie widzisz, że Niuta odgryza placek, przeznaczony dla psa.

— Proszę panią, to psu nie szkodzi, on zawsze spija mleko, przeznaczone dla Niusi.

Biedny piesek

— Czemu płaczesz, żoneczko?

— Ach, wyobraź sobie, upiekłam ciasto i postawiłam na stole, a nasz Azorek zjadł je.

— Nie martw się kochanie, kupię ci drugiego psa!

Udało się

Przed kawiarnią stoi piękne, szare auto. W aucie siedzi szofer i pali papierosa. W pewnej chwili do szofera zbliża się jakiś pan w sportowej czapce z listem w ręku. Wręcza list szoferowi i mówi:

— Proszę oddać ten list właścicielowi auta.

Szofer skinął głową i wszedł do kawiarni. Właściciel auta otwiera list i ku swemu zdumieniu odczytuje następujące słowa:

„Jeżeli się uda, to dobrze — jeżeli nie, to trudno!"

— Co to ma znaczyć? — zapytuje właściciel, pokazując list szoferowi.

Szofer czyta, namyśla się przez chwilę, poczem biegnie ku drzwiom. Po chwili wraca z przerażoną miną.

— Udało się! — woła.

— Co się udało?

— Skradziono nam auto!

Udowodnił...

— Chrupczałka, daj mi jakiś dowód, że ziemia jest okrągła!

— Bilety okrężne, proszę pana nauczyciela.



PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 95 groszy, kwartalnie zł 2,85. Pod opaską miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 miesięcznie. Wrazie wypadków spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku lub t. p., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.) ulica Śniadeckich 8

Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się.

P. K. O. Nr. 207.393

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,- zł, 1/2 str. 225,- zł itd. Wiersz milimetrowy szerok. 31 mm. 25 gr. Drobne ogłoszenia za każdy wyraz 10 gr, dla poszuk. pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Red. nacz. i wydawca: Alfred Ksycki — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki, Żnin.